

Alice Sharpe

Dobry horoskop

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jestem nadzwyczaj cierpliwym psem.

No dobrze, dobrze, różnie bywa, ale tamtego dnia zachowywałem się cierpliwie. Przynajmniej jak na foksteriera ostrowłosego.

Usiadłem przy drzwiach i tylko od czasu do czasu skomlałem, by przypomnieć mojej pani o zbliżającej się porze posiłku. Niestety, bez skutku, ponieważ Heather McGee głośnym szeptem opowiadała jej coś na ucho.

Głuchy odgłos w przedpokoju był doskonałym pretekstem. Zareagowałem błyskawicznie, bo osobnika o złych zamiarach najskuteczniej odstrasza ujadanie.

Isabelle, owszem, zwróciła na mnie uwagę, ale kazała mi zachowywać się grzecznie, a jej przyjaciółka zerwała się z miejsca i w pędzie omal mnie nie zdeptała.

Za drzwiami stał wystraszony chłopiec. Według mnie miał złe zamiary, więc chciałem rzucić się na niego, ale Isabelle mnie powstrzymała. Szarpnęła smycz, co zabolalo tak mocno, że się cofnąłem. Zresztą urwis uciekł.

Moja pani dała mi burę, a że robi to często, ale bez większego przekonania, rzadko się przejmuję.

Nie wiadomo, skąd przed drzwiami znalazła się gazeta. Zaskoczony popatrzyłem w prawo, w lewo i zobaczyłem, że przed innymi drzwiami też leżą podobnie zwinięte papiery. Bardzo dziwne.

Drzwi pozostawały otwarte, co wzbudziło we mnie nadzieję na rychłe pożegnanie przyjaciółek. Pociągnąłem smycz. Niestety, Isabelle zignorowała moje wysiłki, stopą wsunęła gazetę do przedpokoju i zamknęła drzwi, a jej przyjaciółka kontynuowała przerwane zwierzenia.

Zaburczało mi w pustym żołądku. Po dwóch minutach wymownie prychnąłem, po dalszych trzech położyłem się i wlepiłem wzrok w gazetę. Intrygowała mnie niebieska gumowa banderola. Nadgryzłem ją lekko, ale to nie był dawny produkt z solidnej gumy; banderola pękła, a gazeta powoli się rozwinęła.

I wtedy nad długim rzędem liter ujrzałem trzy zdjęcia. Na jednym było apetyczne ciasto, na drugim chłopiec z piłką, a na trzecim uśmiechnięty Rick Manning.

Mój Rick!

Dlaczego w gazecie zamieszczono jego podobiznę?

Bardzo żalowałem, że nie umiem czytać.

Miałem nadzieję, że będzie jeszcze jedno zdjęcie, więc szturchnąłem gazetę łapą.

Proszę mnie zrozumieć. To, że Rick pojawił się przed moimi oczami właśnie w tym momencie, uznałem za niewątpliwe zrządzenie losu. Od kilku dni mi się śnił. Raz byliśmy na plaży; Rick rzucił mi patyk, ja pobiegłem w przeciwną stronę, więc on ruszył za mną, a wtedy ja znowu skręciłem i mu umknąłem. Uroczy psi sen o hasaniu nad wodą.

Cztery lata temu Rick porzucił Isabelle i mnie i przez ten czas musiałem zadowalać się marzeniami. Bardzo tęskniłem za Rickiem. Moja pani ma dużo znajomych mężczyzn, niektórzy

są nawet mili, ale dwóch mnie nie lubi. Oczywiście nie przyznają się, ukrywają przed Isabelle niechęć do mnie, lecz ja to wyczuwam. Pies doskonale to potrafi.

Ostatnio często dumalem o tym, że Isabelle i Rick powinni być razem. Sprzykrzyła mi się sytuacja ofiary zerwanego związku.

Gazeta była zrobiona z nietrwałego materiału i prędko zaczęła się rwać, co miało ten plus, że Isabelle podniosła z podłogi naddarte płachty.

Nie zauważyła fotografii, a przecież chodziło mi właśnie o to, żeby zobaczyła Ricka. Już od dawna nie wymieniała jego imienia. Całą siłą psiej woli starałem się ją zmusić, żeby spojrzała na gazetę, a Ricka, gdziekolwiek akurat przebywał, żeby o nas pomyślał.

Przyjaciółki wreszcie się pożegnały i ruszyliśmy w stronę windy, co oznaczało powrót do domu.

Szedłem szybko, ale to wcale nie znaczy, że przestałem zastanawiać się, co Rick takiego zrobił, że zamieszczono jego zdjęcie w gazecie.

A przede wszystkim głowilem się, dlaczego nas porzucił.

Czekając na windę, zamyślona Isabelle raz i drugi głośno westchnęła. Pewnie jej ulżyło, że nareszcie ma za sobą przykre spotkanie.

Heather musiała poskarżyć się komuś na swój los. Jej mąż, John, odszedł od niej. Twierdził, że się dusi i potrzebuje więcej przestrzeni. Isabelle często zastanawiała się, co ów popularny zwrot tak naprawdę znaczy. O jaką przestrzeń chodzi i gdzie takowa się znajduje? Na ziemi czy we wszechświecie? Co człowiek robi, gdy już tam dotrze? Siedzi nieruchomo wpatrzony w swój pępek czy chodzi, ale ostrożnie, powoli, by nie naruszyć przestrzeni innego człowieka?

Trudna sytuacja Heather miała dwa poważne aspekty. Mniej istotnym był los jej firmy gastronomicznej oraz to, jak bez pomocy męża uda się zrealizować wszystkie zamówienia. Znacznie poważniejszy był fakt, że John nic nie wiedział o ciąży, a Heather miała wątpliwości, czy mu powiedzieć. Lecz jak odzyska męża, jeśli zatai prawdę? A jeżeli powie mu o dziecku i John wróci, skąd będzie miała pewność, że kierował się sercem?

Po kilku godzinach omawiania w kółko tego samego problemu Isabelle dostała silnego bólu głowy. Zdobyła się na parę słów pocieszenia i oględne wyrażenie swojej opinii. Poradziła Heather, by przede wszystkim zadzwoniła do męża i powiedziała mu o ciąży, a troskę o firmę odłożyła na później. Nic więcej nie mogła zrobić.

Wreszcie nadjechała winda, drzwi się rozsunęły i niecierpliwy pies pociągnął swą panią za sobą. Isabelle nacisnęła przycisk, po czym gniewnie spojrzała na Marniego.

– Zachowujesz się dziś okropnie. Co cię napadło? Najpierw szczekasz w cudzym mieszkaniu, jakby świat się walił, a potem drzesz cudzą gazetę.

Po wyjściu z windy terier szarpał smycz, wyładowując nadmiar sił witalnych. Węszył czarnym nosem i rozglądał się bystrzymi oczami.

Isabelle od lat podziwiała niespożytą energię swego psa, ale jeszcze bardziej podobał się jej w nim absolutny brak skruchy. Karcenie go było bezcelowe.

Kątem oka dostrzegła, że ktoś chce otworzyć drzwi i wejść do oszklonego przedsionka

oddzielającego korytarz od ulicy. Mężczyzna stał odwrócony do domofonu.

Isabelle otworzyła drzwi, a wtedy Marnie dostał istnego szału. Radośnie ujadł, jak opętany biegał naokoło nieznanego, owijając mu smycz wokół nóg.

Głośne szczekanie psa i pomruki zaskoczonego mężczyzny speszyły Isabelle. Bąknęła jakieś przeprosiny, próbowała uciszyć Marniego i nerwowo szarpała smycz. Gdy terier odrobinę się uspokoił, nieśmiało spojrzała na mężczyznę. Niemożliwe. Jej rozum chwilowo odmówił zaakceptowania tego, co zobaczyły oczy.

– Rick?

– Isabelle? Nie wiedziałem, że tu mieszkasz!

– Bo nie mieszkam. A ty?

– Ja też nie. Idę do... znajomej. A ty?

– Wracam od znajomej.

– Rozumiem...

Marnie usiadł na czubku męskiego buta i wydawał dźwięki mające wyrażać radość ze spotkania. Rick schylił się, podrapał psa za uchem, zajrzał w okrągłe jak guziczki oczy i ciepłym głosem powiedział:

– Jak się masz, urwisie? Dawno cię nie widziałem. – Zerknął na Isabelle. – To żywe srebro nic się nie zmieniło i nadal bez zahamowań wyraża swoje uczucia.

– Dzisiaj zachowywał się podejrzanie... od rana był podniecony, jakby wyczuwał, że cię spotka.

Słowo „urwis” przywołało mnóstwo wspomnień, które były jednocześnie miłe i przykre. Rick wyplątał się ze smyczy.

– Przepraszam – powiedziała Isabelle.

– Nie ma za co.

Rick błysnął olśniewająco białymi zębami i jego uśmiech podzielał jak czary. Trudno było uwierzyć, że od ostatniego spotkania minęły z górą cztery lata.

Dawno temu, gdy Isabelle i Rick stanowili nierozłączną parę, Rick był długowłosym studentem ostatniego roku, nosił podniszczone dżinsy i swetry, chodził pochylony, by jego dwumetrowy wzrost mniej rzucał się w oczy. Isabelle dopiero zaczynała studia, była znacznie młodsza i niższa, ale ubierała się podobnie i też miała długie włosy. Wyglądali jak rodzeństwo.

Teraz Rick był przystojnym, zadbanym mężczyzną, miał porządnie ostrzyżone włosy, elegancki garnitur i drogi płaszcz narzucony na ramiona. Wyglądał jak przystało na człowieka pracującego w prestiżowym zespole adwokackim w Portlandzie.

– Ślicznie wyglądasz – rzekł.

Obrzucił Isabelle spojrzeniem, które w dawnych czasach przyprawiało ją o przyjemny dreszcz. Teraz zawstydziała się. Heather zadzwoniła z błaganiem, by natychmiast przyjechała do Portlandu, więc ubrała się w pośpiechu i nawet się nie uczesała. Miała na sobie zwykłe spodnie, nieciekawą bluzkę, a włosy związała byle jak.

– Dziękuję – szepnęła zażenowana.

– Jak twoi rodzice? – zapytał uprzejmie Rick. – Ojciec już przeszedł na emeryturę? Mama

nadal co tydzień gra w golfa?

– Tata jeszcze pracuje, a mama czasem gra nawet dwa razy dziennie.

– Ary?

– Znalazłam pracę w Seaporcie.

Rick skinął głową, ale nie skomentował. Dlaczego? Czy wrócił wspomnieniami do miasta, w którym kiedyś razem spędzali wakacje, a teraz tylko ona tam mieszkała? A może ma wyrzuty sumienia, że jego ojciec czuje się opuszczony? Isabelle często spotykała pana Manninga, nadal utrzymywali przyjazne kontakty. Dla obojga nieobecność Ricka stanowiła niegojącą się ranę.

– Podobno zajmujesz się maluchami.

– Tak. Mam pod opieką dwadzieścioro dzieci w zerówce. Już je roznosi, bo do wakacji niedaleko... – Isabelle ugryzła się w język. Wielki prawnik na pewno nie miał ochoty słuchać historyjek o cudzych dzieciach.

– A więc spełniło się twoje marzenie. Zawsze chciałaś uczyć i wychowywać. Jestem pełen podziwu.

Rick niestety zrezygnował ze swoich marzeń, porzucił ideały młodości i zainteresował się pieniędzmi, a goniąc za majątkiem, porzucił ukochaną. Przynajmniej ona tak tłumaczyła sobie jego postępowanie. Duma nie pozwalała jej okazać bólu z powodu rozstania.

Nieoczekiwanie Rick rzekł:

– Wiesz, dobrze się składa, że cię spotkałem.

Isabelle wcale nie czuła się szczęśliwa z tego powodu. Przez cztery lata uparcie wymazywała z pamięci wspomnienia o Ricku i ostatnio podczas spotkań z jego ojcem nawet o niego nie pytała.

Bzdura, skarciła się w duchu. Tak naprawdę nigdy nie wymazała go z pamięci.

– Naprawdę?!

Powiedziała to na głos, więc zaskoczony Rick zamilkł. Isabelle zrozumiała, że odezwała się ni w pięć, ni w dziewięć. Zawstydziała się. Najchętniej by uciekła.

– Miałam dziś ciężki dzień – próbowała się usprawiedliwić. – Żegnam.

– Zaczekaj. – Rick schwycił ją za rękę. – Chętnie posłucham o twojej pracy...

Nieznacznie wzruszyła ramionami.

– Dzieci na pewno są ci obojętne. Oczy Ricka błysnęły gniewnie.

– Tak sądzisz? Według ciebie całkiem już wsiąknęłam w prawniczy świat, zająłem się zgarnianiem mamony i nic poza tym mnie nie interesuje...

Rozmowa przybierała nieprzyjemny obrót. Isabelle rozżołościła się i zamiast załagodzić sprawę, dołała oliwy do ognia:

– Raczej jesteś zajęty wyszukiwaniem sposobów, żeby nie zamykano w więzieniu opryszków.

Rick miał ochotę odpłacić jej pięknym za nadobne, ale ugryzł się w język. Ostentacyjnie spojrzął na zegarek.

– Na mnie już czas.

Isabelle wstydziała się swojego wybuchu, ale nie wiedziała, jak przeprosić, by nie zaognić

sytuacji. Zresztą jakie to miało znaczenie. Ostatni raz widzieli się przed czterema laty i zapewne upłynie kilka następnych, nim znowu się spotkają. Jeśli w ogóle tak się zdarzy.

– Ja też się śpieszę.

Przez chwilę patrzyli na siebie wrogo, po czym Rick zaskoczył ją pocałunkiem w policzek. Dotyk jego ust wywołał falę miłych wspomnień.

– Cieszę się, że cię spotkałem – powiedział.

– Ja też – skłamała.

Wcale się nie cieszyła. Jego widok sprawiał jej ból, robiło się jej słabo, dygotała ze wzruszenia. Niemal bezwiednie objęła go za szyję, po czym prędko puściła i cofnęła się do drzwi.

Rick przykucnął, by pogłaskać Marniego. Terier patrzył na niego z zachwytem, co jest rzadkością u psów tej rasy.

– Sprawuj się dobrze – polecił Rick i szepnął coś do psiego ucha, co zostało przyjęte liźnięciem w policzek. Naiwne stworzenie cieszyło się, bo nie wiedziało, że wyszeptane słowa znaczą „żegnaj... na zawsze”.

Rozpadało się na dobre. Wielkie krople głośno bębniły o przednią szybę, a wycieraczki nieprzyjemnie zgrzytały. Radio trzeszczało, więc Isabelle wyłączyła je i pogрузzyła się we wspomnieniach.

Terier rzucał swej pani wymowne spojrzenia, jakby wiedział, jakim torem biega jej myśli.

– Kochałeś Ricka bardziej niż mnie – odezwała się Isabelle. – Wiedziałam o tym od początku.

Często przemawiała do swojego pupila i niekiedy miała wrażenie, że on wszystko rozumie. Teraz wróciła wspomnieniami do swoich dwudziestych drugich urodzin. Właśnie wtedy dostała w prezencie od Ricka małego, niepozornego psa o bujnym temperamentem, którym można byłoby obdzielić cały miot. Rick kupił teriera dwa tygodnie wcześniej i przez czternaście dni bardzo żył się ze szczeniakiem, a i Marnie zapewne wolałby zostać u Ricka, którego ojciec, szkutnik, mieszkał blisko plaży. Wokół zakładu było sporo miejsca, gdzie psiak mógł biegać przez cały dzień.

– Nie masz czego się wstydzić – dorzuciła Isabelle. – To nie twoja wina.

Pies odwrócił się i przykleił nos do szyby.

– Pamiętaj tylko, kto cię broni przed panią Pughill. Terier udawał głuchego.

Isabelle wzruszyła ramionami. Przypomniała sobie, jak czuła się dawno temu, kiedy Rick patrzył na nią. Jak niecierpliwie czekała na telefon od niego, jakich doznawała uczuć, kiedy ją obejmował. Westchnęła. Kiedyś kochała go do szaleństwa, a teraz na chwilę zapomniała, jak okrutnie ją zranił.

Spojrzała na psa.

– Ciebie Rick też porzucił, ale chyba mu wybaczyłeś – mruknęła.

Marnie wyprężył się i głucho zawył.

Rick jechał windą na siódme piętro i myślał o Isabelle. Wyglądała nawet młodziej niż przed czterema laty. Jej oczy wciąż przywodziły na myśl czekoladę, skóra brzoskwinie, a włosy jedwab. Chyba nadal nie zdawała sobie sprawy ze swej urody. Ubierała się skromnie, nie malowała się, nie chodziła do fryzjera. Jej uroda była całkowicie naturalna. Żadnych poprawek.

Nagle poczuł ogromną tęsknotę. Czy to dziwne? Przecież kiedyś Isabelle była dla niego wszystkim. Długo wierzył, że tak będzie zawsze.

Więc co stało na przeszkodzie?

Decyzja o studiach prawniczych. Tylko tyle.

Rick nie chciał mieszkać na wybrzeżu, nie chciał budować łodzi. Powielanie drogi życiowej ojca zupełnie mu nie odpowiadało. Każda inna kobieta byłaby zachwycona, że ukochany jest ambitny, pragnie zdobyć wyższe wykształcenie, daleko zajść. Ale nie Isabelle. Jej wystarczał mały Seaport. Tymczasem Rick pragnął mieszkać w dużym mieście, blisko teatrów i kin, a do tego potrzeba było stałych, wysokich dochodów. Im więcej wysuwał argumentów, tym bardziej Isabelle zamykała się w sobie.

Jej zdaniem to on oszedł, ale prawda wcale nie była taka prosta i oczywista. Raczej oboje odsunęli się od siebie.

Po rozstaniu Isabelle zabrała „jego” psa.

Niektórzy ludzie po prostu do siebie nie pasują. Rick nieraz przekonał się o tym, jak choćby podczas tego spotkania przed chwilą. Isabelle i on to całkowite przeciwieństwa.

Przeniosła się do Seaportu, co oznaczało, że widuje jego ojca. Młoda kobieta i starszy pan od razu bardzo się polubili, z czego Rick początkowo się cieszył, ale później zaczął podejrzewać ich o zмовę.

Nagle przyszło mu na myśl, że stał się Isabelle całkiem obojętny i dziwnie go to zabolowało.

Ojciec Ricka był wdowcem i dwukrotnym rozwodnikiem. Lubił powtarzać, że życie płynie dalej. Rick musiał przyznać mu rację. Rzeczywiście tak było. Rozstał się z Isabelle, a życie potoczyło się dalej...

Zastukał do mieszkania oznaczonego numerem 702.

ROZDZIAŁ DRUGI

Wizyta u przyjaciółki bardzo się przeciągnęła. Isabelle nie tylko czuła się wyczerpana, ale była też głodna jak wilk. Zazwyczaj Heather częstowała ją różnymi pysznościami, co było niezwykle miłe, zwłaszcza że Isabelle nie potrafiła gotować, ale dziś zgnębiona i nieszczęśliwa gospodyni zapomniała o jedzeniu, więc Isabelle musiała pomyśleć o kolacji dla siebie i psa.

Gdy zajechała przed dom, w oknie właścicielki uchyliła się zasłona. Isabelle smętnie westchnęła i powoli wysiadła z samochodu, a pies wyskoczył jak z procy i pobiegł prosto na kwietnik. Jego pani jak zwykle miała dylemat, co zrobić. Zawołać Marniego i tym samym zwrócić uwagę sąsiadki, że terier podlewa cenne krzewy? A może udawać niewidomą w nadziei, że właścicielka róż nic nie zauważy? Niestety, mało prawdopodobne, żeby podstęp się udał. Pani Bertha Pughill zawsze wiedziała, a jej wiekowy pudel Ignatz zawsze czuł, co dzieje się koło domu.

Isabelle zawołała Marniego, który o dziwo natychmiast zakończył podlewanie róż. Niebawem wybiegł z kuchni na ogrodzone miniaturowe podwórko, a jego pani przestała zaprzętać sobie nim głowę. Wypakowała zakupy z torby, nasypała karmę dla psa i postawiła miskę na podłodze. Na ten odgłos terier zwykle wracał pędem i rzucał się na jedzenie, jednak tym razem nie przybiegł. Zdziwiona Isabelle wyjrzała na podwórko. Psa nigdzie nie było. Wyszła go poszukać. Marnie nigdy nie przeskakiwał niskiego ogrodzenia, zadowalał się bieganiem po podwórku, jakby nie chciał utrudniać życia swojej pani. Gdzie zatem się podziewał?

Może biega przed domem. Isabelle otworzyła drzwi frontowe i ujrzała pupilka siedzącego spokojnie na wycieraczce, przy nowiutkiej gazecie. Szczyrzył zęby i wyglądał, jakby się uśmiechał.

Isabelle zerknęła w bok, by zobaczyć, czy pani Pughill nadal tkwi przy oknie. Usłyszała przytłumione szczekanie Ignatza, ale sąsiadki nie zauważyła. Dobra nasza! Podniosła portlandzki dziennik i pogroziła Marniemu palcem.

– Co cię dzisiaj opętało? Najpierw podarłeś gazetę Heather, a teraz ukradłeś sąsiadce.

Terier bynajmniej nie miał skruszony miny, a w dodatku warknął raz, ale stanowczo. Weszli do domu.

– Oddam gazetę, tylko przejrzę nagłówki – zdecydowała Isabelle.

Ledwie usiadła, rozległo się natarczywe stukanie do drzwi, a Marnie zaczął wściekle ujadać.

– Niech pani nie udaje głuchej – krzychała sąsiadka. – Proszę natychmiast otworzyć. Liczę do dziesięciu.

– Co się dzieje? Pali się? – zawołała Isabelle. Rozglądała się gorączkowo, gdzie by tu schować gazetę.

– Gorzej, ma pani złodzieja. No, otwiera pani czy nie? Isabelle rzuciła winowajcy groźne spojrzenie.

– Widzisz, coś narobił? Marnie oczywiście milczał.

Isabelle niechętnie otworzyła drzwi i spojrzała na niską, tęgą właścicielkę domu. Za rozłożoną kobietą stał wiekowy pudel; oczy miał kaprawe, a na czubku łba sterczały jak nastroszone pióra siwe kłaki. Staruszek groźnie szczyrzył żółte kły.

– Mój Ignatz jest bystry, dzięki niemu zorientowałam się, że grasuje tu złodziej – wyrzuciła pani Pughill jednym tchem. – To prawdziwy skarb, nie pies. Pani ma podstępne stworzenie.

„Skarb” warknął trzy razy.

Isabelle milczała, ponieważ w ręce trzymała dowód zbrodni. Podała gazetę sąsiadce, ta jednak założyła ręce do tyłu.

– Niech pani ją sobie zatrzyma. Nie chcę zaślinionej gazety.

– Owinę w papierowy ręcznik – zaproponowała Isabelle.

– Przez ręcznik trudno czytać. Zawsze zaczynam od horoskopu, żeby odpowiednio zaplanować sobie dzień. Madame Hortense jest genialna, jej przepowiednie zawsze się sprawdzają. Żaden rozsądny człowiek nie może żyć bez horoskopu.

Isabelle ugryzła się w język, powstrzymując się od kąśliwego komentarza. Zwinęła gazetę, obłożyła ligninowymi chusteczkami i wcisnęła sąsiadce do ręki.

– Ja tego nie będę czytać! – zaproponowała starsza pani. – Gdy omawialiśmy warunki wynajmu, uprzedziłam, że pani pies musi sprawować się tak dobrze jak mój Ignatz.

– Pamiętam – mruknęła Isabelle. – Przepraszam za Marniego.

– Przeprasiny nie pomogą mi przeczytać horoskopu – logicznie zauważyła sąsiadka.

– Wobec tego zwrócę równowartość dziennika – rzekła Isabelle. – Albo kupię nową gazetę i przyniosę pani.

Marnie warknął głośno, więc Ignatz przywarł do nóg właścicielki. Pani Pughill spojrzała na teriera, a potem przeniosła wzrok na sublokatorkę.

– Moja gazeta kosztuje dolara pięćdziesiąt.

– Już po nią idę.

– Wystarczy, jeśli dostanę równowartość. Lubię sama wszystko kupować.

– Zaraz przyniosę pieniądze.

Marnie groźnie zawarczał, więc na wszelki wypadek zatrzasnęła drzwi.

– Diabeł w ciebie wstąpił czy co? – syknęła. Pies przekrzywił łeb.

Machnęła ręką, wyjęła z portmonetki pieniądze, zamknęła winowajcę w pokoju i wyszła do sąsiadki. Musiała wysłuchać długiej tyrady na temat zachowania Marniego.

W takich chwilach marzyła o lepszym mieszkaniu, ale urlopowicze zarezerwowali wszystkie wolne miejsca i trzeba było poczekać do jesieni, a przeprowadzka tuż po rozpoczęciu roku szkolnego była mało pociągająca. Poza tym znalezienie odpowiedniego lokum będzie trudne, ponieważ rzadko kto reflektuje na sublokatorkę z psem.

Przygnębiona wróciła do siebie. Marnie gapił się na biurko, które dostała w prezencie pod choinkę od Ricka. Takie zachowanie oznaczało, że pies jest zainteresowany telefonem albo komputerem. Tym razem chodziło o telefon, na którym migało światelko automatycznej sekretarki.

– Najpierw coś przekąszę – zdecydowała Isabelle. – Później sprawdzę, kto dzwonił. Zgoda?

Terier oczywiście nie odpowiedział, ale niezrażona Isabelle nadal do niego przemawiała. Nawet w kuchni, skąd jej nie słyszał.

Wyjęła z lodówki jedzenie.

– Całe szczęście, że pani Pughill jest leniwa. Stale się złości i grozi, ale tak prędko nas nie wyrzuci.

Zauważyła nietknięte psie jedzenie. Bardzo dziwne! Gdy zajrzała do pokoju, terier siedział na tym samym miejscu, nadal wpatrzony w biurko.

– Uparciuch z ciebie, ale ja też mam charakter.

Wyjęła z mikrofalówki gorące danie i usiadła przy stole. Gotowe potrawy bardzo jej odpowiadały; im łatwiejsze w przygotowaniu, tym lepsze. Fundusze miała bardzo ograniczone, ale wymagania niewielkie, więc zawsze starczało pieniędzy na jedzenie i czynsz. Mikrofalówka była jedynym luksusem, na jaki sobie pozwoliła.

Pomyślała o Ricku, który lubił i umiał gotować smaczne potrawy. Przez dwa lata była bardzo szczęśliwa, snuła marzenia o przyszłości.

Po rozstaniu z Rickiem z nikim się nie związała i nie była to kwestia braku powodzenia. Najpierw uważała, że jest bardzo młoda, więc nie musi się śpieszyć. Później z powodu absorbującej pracy spotkania ze znajomymi odkładała na wakacje. Jeszcze przez tydzień będzie miała zajęcia z uczniami, a potem... Prawda, przecież Heather liczy na jej pomoc.

Może później znajdzie trochę wolnego i umówi się na randkę.

A może nie.

Rzadko myślała o miłości, o nowym związku, ale nieoczekiwane spotkanie z Rickiem wprawiło ją w melancholijny nastrój.

Nagle w głębi mieszkania rozległ się podejrzany hałas. Czyżby sąsiadka zrobiła użytek ze swego klucza i weszła bez uprzedzenia? W takim wypadku sublokatorka ma prawo wezwać policję! Oburzona Isabelle wkroczyła do pokoju.

Terier stał na biurku między telefonem a komputerem i wpatrywał się w sekretarkę, z której wydobywał się dudniący głos. Skąd zwierzę wiedziało, co nacisnąć? Marnie zgrabnie zeskoczył na podłogę.

– Gazeta, dzisiejsza gazeta – mówiła Heather. – Obie straciłyśmy ukochanego...

Rozległo się łkanie i Heather się wyłączyła.

Isabelle bezsilnie opadła na najbliższe krzesło. Na pewno chodziło o Ricka, jedynego mężczyznę, którego naprawdę kochała. Co się stało? Zdenerwowana posłuchała nagrania od początku.

– Chyba już wróciłaś do domu. Właśnie przeczytałam o Ricku. Zareczył się i zimą bierze ślub. Piszą o tym w dzisiejszej gazecie. Obie straciłyśmy...

Isabelle wlepiała oczy w psa.

– Skąd wiedziałeś? – szepnęła.

Teriera rozpieęła duma, ale tylko zamerdał ogonem.

Chciałbym wyjaśnić kilka podstawowych rzeczy.

Po pierwsze, kocham Isabelle bardziej niż Ricka. Nie rozumiem, czemu ona poddaje to w wątpliwość.

Po drugie, chyba jestem jasnowidzem.

Po trzecie, muszę uświadomić Ignatzowi, że mało kto lubi pudle.

Mam dowody na moje jasnowidztwo. Bo czy można inaczej wyjaśnić fakt, że zdjęcie Ricka ukazało się zaraz po tym, jak mi się przyśnił? A jak wytłumaczyć to, że on sam pojawił się przy drzwiach, kiedy skupiłem myśli na jego zdjęciu? I jak rozumieć telefon od nieszczęśliwej przyjaciółki Isabelle? Kto to wszystko wyjaśni?

Przyznam się, że nagrana wiadomość uderzyła mnie jak grom z jasnego nieba. Czegoś takiego nie przewidziałem.

Po wysłuchaniu nagrania moja pani wypadła z pokoju jak bomba i po chwili wróciła z gazetą. Miałem ochotę wyć z radości, że nareszcie zobaczy tekst i zdjęcia. Mógłbym jej podpowiedzieć, gdzie szukać fotografii, ale przez cały dzień traktowała mnie jak powietrze, więc przestałem się wtrącać. Sama znalazła właściwą stronę, prędko przeczytała, co tam napisano, a potem przez pół godziny siedziała bez ruchu jak wykuta z kamienia.

Zastanawiałem się, jak wyrwać ją ze stanu odrętwienia. Może rozedrzeć jakąś poduszkę? Nagle zerwała się z kanapy, rzuciła gazetę w kąt, wskoczyła do łóżka i naciągnęła kołdrę na głowę.

Wtedy dokładnie obejrzałem gazetę. Zdjęcie Ricka zamieszczone na innej stronie było większe od tego, które widziałem. Obok znajdowała się fotografia jakiejś brunetki, odrobinę podobnej do mojej pani. Łatwo domyślić się, kim jest ta kobieta.

Jak on mógł!

Dlaczego to zrobił?

Jak temu zapobiec?

Czy uwielbiany przeze mnie człowiek stracił rozum?

Przecież chodziło mi o to, żeby zrozumiał, że kocha Isabelle. I oczywiście mnie. Miał dość czasu, by się opamiętać. Nasze spotkanie powinno mu uzmysłwić, że zmarnował cztery lata. Pora wreszcie zmadrzeć. Nie wolno mu zaręczyć się z kiepskim sobowtórem ideału. Nie ma prawa palić za sobą mostów.

Raptem przypomniałem sobie, co mi szepnęła na ucho. Przykazał mi, żebym opiekował się moją panią. Czy takie polecenie daje mężczyzna, któremu kobieta jest obojętna? Wątpię. Ludzie często wprawiają mnie w zdumienie i nie wiem, co o nich sądzić. Ta prośba chyba świadczy o uczuciu.

Od natłoku myśli zakręciło się mi w głowie. A może to z braku kalorii? Już długo nic nie jadłem. Pobiegłem do kuchni, wylizałem miskę do czysta i poczułem pragnienie. Isabelle zawsze nalewa mi wody do drugiej miski, aleja wolę pić prosto z kranu. Nim zaspokoilem pragnienie, usłyszałem nowy intrygujący dźwięk. Nadstawiłem uszu.

To był zduszony szloch!

Zeskoczyłem z szafki, pobiegłem do sypialni i zmartwiony popatrzyłem na skuloną postać na łóżku.

Jak pomóc zrozpaczonej istocie? Psychiczne wsparcie to za mało, potrzebne jest konkretne działanie. Zapragnąłem przemienić się w olbrzymiego psa i działać na wielką skalę.

Po krótkim namyśle wskoczyłem na łóżko i ułożyłem się koło nóg Isabelle. Zwykle krzyczała i odganiała mnie, lecz tym razem pogłaskała mnie, więc oparłem łeb na jej udzie. Stopniowo łkanie ustało, a oddech mojej pani się wyrównał.

W takich sytuacjach pies czuje się dumny z tego, że jest psem.

Wprawdzie nie jestem cudownym zwierzęciem, ale chyba mam trochę niezwykłych właściwości. Jedyne, co mogłem uczynić, to siłą woli sprawić, by coś się stało. Zawsze lepiej zrobić cokolwiek, niż zrezygnować z działania. Doszedłszy do tego wniosku, postanowiłem odpocząć. Miałem za sobą dzień pełen wrażeń.

Rick obudził się bardzo wczesnie i długo leżał bez ruchu. Rozpamiętywał swój sen. Był w zakładzie ojca, czyli w miejscu, w którym jego noga nie powstała od dnia zerwania z ukochaną. Isabelle z nieodgadnionym wyrazem twarzy przystanęła na progu. Ojciec chodził koło niedokończonej łodzi i uśmiechał się. Ten ponurak się uśmiechał! Marnie też tam był, ale dużo większy, niemal wielkości kucyka.

Rick wysilił pamięć, lecz nic więcej nie mógł sobie przypomnieć. Za to wyraźnie czuł dziwny niepokój w żołądku.

Podczas porannej toalety rozmyślał o ojcu. Znany, bardzo ceniony szkutnik budował łodzie stosunkowo małe, ale niezatapialne i o pięknym kształcie. Sprzedawał je bogatym ludziom po wysokich cenach, a mimo to przynosiły mały zysk. Ale dla niego pieniądze były sprawą drugorzędną, liczyła się sama praca. Kochał ją. Nie przyjmował też do wiadomości, że jego syn nie chce męczyć się budowaniem łodzi, lecz woli je po prostu kupować. Pan Manning nie chciał zrozumieć, że jego jedynak pragnie robić w życiu coś innego.

Rick z rozczeniem przypominał sobie wszystkie chwile, kiedy Isabelle pomagała jego ojcu przy pracy. Opowiadali sobie dowcipy i dykteryjki, a on udawał, że jego nie bawią.

Przypomniały mu się długie wieczorne spacerunki z Isabelle. Marnie był wtedy szczeniakiem, małą kulką toczącą się koło ich nóg.

Ponieważ nawet w sierpniu wiały chłodne wiatry z północy, Isabelle zawsze ubierała się ciepło i owijała szalem. Kurczowo trzymała Ricka pod rękę i często przytulała zimny nos do jego karku. Ale usta miała gorące.

Spędzili w Seaportcie trzy cudowne letnie sezony. On pomagał ojcu, by zarobić na kolejny rok studiów, a Isabelle mieszkała w szkole dla dzieci specjalnej troski. Zgłosiła się tam do pracy jako wolontariuszka. Nie zależało jej na pieniądzach, ponieważ dostała stypendium.

Przez cały dzień solidnie pracowali, a wieczory spędzali w domu albo na plaży. Po latach Rick zrozumiał, że to były dobre czasy.

Zawiązując krawat, popatrzył na fotografię ustawioną przy lustrze. Chloe Connors, córka szefa, niedawno skończyła studia. Świeżo upieczona absolwentka przychodziła do kancelarii ubrana, uczesana i umalowana jak modelka. Od pierwszej chwili zagięła na Ricka parol. Jej uwielbienie było balsamem dla jego męskiego ego. Już wyznaczyła datę ślubu.

Czy mężczyzna zamierzający się żenić ma prawo śnić o dawnej miłości?

Po namyśle Rick doszedł do wniosku, że Isabelle wypłynęła w jego podświadomości jako niezłatwiona sprawa. Spotkali się w domu, w którym mieszka Chloe. Czy to przypadek, czy Opatrzność? Zamierzał powiedzieć Isabelle o zaręczynach, ale z przedziwną miną zaczęła pleść trzy po trzy o swojej pracy w szkole i o jego karierze prawniczej. Jakby miała do niego pretensję. O co?

Nieważne, nie o to chodzi. Skoro nie mieszka w Portlandzie, mało prawdopodobne, by zobaczyła zdjęcie w gazecie. Rick wolałby, żeby nie dowiedziała się o jego matrymonialnych planach od osób trzecich.

Ogarnęło go jakieś osobliwe uczucie. Postanowił osobiście ją zawiadomić. Może będzie oschła, opryskliwa, ale on przyjmie złośliwości jak na mężczyznę przystało. I sprawa zostanie definitywnie zakończona.

Zajrzał do kalendarza, by sprawdzić, kiedy ma trochę więcej czasu. Tego popołudnia musiał stawić się w sądzie, ale to krótka rozprawa, potem będzie wolny. Pojedzie do Seaportu, gdzie za jednym zamachem załatwi dwie sprawy. Wstąpi do Isabelle i powie o zaręczynach, a później pojedzie do ojca. Nie mogą ciągle się gniewać z powodu różnicy poglądów.

Wsypał na talerz płatki i wyjął z lodówki mleko. Ogarnęło go dziwne podniecenie. Dlaczego dziwne? To naturalna reakcja, w końcu dawno nie był na plaży.

ROZDZIAŁ TRZECI

O tej porze sąsiadka swoim zwyczajem tkwiła przy oknie. Kiedy zobaczyła samochód, wyszła z domu.

– Pani kundel ujada od samego rana – zawołała. Isabelle była zmęczona po całym dniu pracy. Dzieci, zazwyczaj grzeczne, dziś były niemożliwe. Roznosiła je energia, jakiej dodały im pączki przywiezione w południe przez jakąś dobroduszną matkę. W dodatku jedno dziecko przydzwigało z domu szczura w klatce. Zwierzę uciekło w czasie dużej przerwy, a poszukiwania trwały ponad godzinę. Drugie dziecko przyniosło trąbkę. Chłopiec nie miał słuchu, nie opanował żadnej melodii, ale uparcie grał. Na domiar wszystkiego dyrektorka, będąca w zaawansowanej ciąży, tego dnia częściej wpadała w irytację, co przyczyniło się do ogólnego chaosu.

Po południu zadzwoniła Heather z prośbą o wsparcie i pocieszenie.

Choć z mieszkania dobiegało stłumione szczekanie, Isabelle oświadczyła stanowczo:

– Ja nic nie słyszę.

– Dzisiejszy horoskop jest niepomyślny. Przepowiada chorobę kogoś bliskiego, a tu jeszcze wycie Marniego doprowadza Ignatza do szału – poskarżyła się sąsiadka.

Pudel, schowany za opuchnięte nogi swej pani, warknął dla potwierdzenia zarzutu.

– Czemu to zwierzę tak dziś hałasuje? Pierwszorzędne pytanie.

I prosta odpowiedź. Wczoraj Marnie przeskoczył przez ogrodzenie, więc dziś Isabelle bała się wypuścić go na podwórko. Rano zamknęła go w domu. Biedne stworzenie, na pewno tęskni za świeżym powietrzem i swobodą.

– Zaraz się nim zajmę – obiecała.

Spodziewała się, że pupil będzie niecierpliwie czekał przy kłapie w kuchennych drzwiach, tymczasem on siedział w pokoju na biurku. I głośno szczekał.

Isabelle położyła torbę na stoliku przy drzwiach, wyprostowała się i pogroziła psu palcem.

– Wstydź się! Zachowujesz się poniżej wszelkiej krytyki. Przestań dręczyć panią Pughill, bo jak tak dalej pójdzie, wylądujemy na bruku.

Automatyczna sekretarka wymownie mrugała, więc Isabelle podeszła, by ją włączyć, i wtedy zauważyła na biurku szczotkę do włosów i pomadkę.

– A one skąd się tutaj wzięły? – mruknęła zdumiona. Włączyła sekretarkę i usłyszała znajomy głos.

– Dzień dobry. Musimy się spotkać. Wpadnę około czwartej. Typowo męskie zachowanie! Rick wydał rozporządzenie, jakby uważał, że ona jest zawsze wolna, na każde zawołanie. Powinna wyjść i dać mu nauczkę. Wcale nie chciała się dowiedzieć, dlaczego muszą się spotkać.

Nieprawda! Trochę ją to intrygowało.

Spojrzała na zegarek; dochodziła czwarta. Dobrze byłoby natychmiast wyjść z domu.

Jakby odgadując jej zamiar, Marnie zaszczekał i nosem popchnął szczotkę, która

zahaczyła o pomadkę. Pomadka poturlała się, lecz nim spadła na podłogę, Isabelle zdołała ją złapać.

Zaintrygowana popatrzyła na psa. Odniosła niesamowite wrażenie, że zrozumiał słowa Ricka i przyniósł szczotkę oraz pomadkę, by zdążyła upiększyć się przed przyjazdem gościa.

Nagle rozległ się donośny dzwonek.

– Już przyjechał?

To na pewno Rick. Sąsiadka nigdy nie dzwoniła, wołała stukać. Terier zeskoczył na podłogę, a jego pani odłożyła pomadkę. Zanim wyszła z pokoju, Marnie już stał na tylnych łapach, a przednie oparł o drzwi. Wyprężył się tak, jakby próbował dosięgnąć judasza.

Isabelle westchnęła i przekręciła klucz.

Terier skoczył do Ricka.

– Dzień dobry. – Uśmiechnięty Rick wziął psa na rękę. Isabelle nie odpowiedziała. Zastanawiała się, jak ma potraktować gościa. Czy kazać mu postawić psa i wracać, skąd przybył? Nie miała pojęcia, o czym chciał z nią rozmawiać, ale już na zapas się bała.

– Mieszkasz niedaleko mojego ojca.

– Owszem.

– Nie wiedziałem.

– Bo jesteś wyrodnym synem i nie odwiedzałeś ojca od stu lat.

– Przesada. Dobrze wiesz. Próbowalem... chciałem... Ojciec nadal jest na mnie wściekły...

Rick urwał. Wolał nie rozmawiać o przyczynie ojcowskiego gniewu. Zresztą Isabelle wiedziała, o co poszło. Wszyscy znajomi wiedzieli.

– Między innymi dlatego przyjechałem. Mogę wejść? Raczysz ze mną porozmawiać?

Nagle skrzypnęły sąsiednie drzwi. Odwrócili się oboje i zobaczyli panią Pughill.

– Mam nadzieję, że przyjechał pan po to hałaśliwe zwierzę. – Starsza pani ujęła się pod boki. – Nieznośne psisko przez cały dzień wyło jak opętane. Biedny Ignatz jest roztrzęsiony. Horoskop się sprawdził.

Pudel wystawił łeb, wyszczerzył żółte kły i warknął.

Terier nie pozostał dłużny. Rick uciszył go i pytająco spojrzął na Isabelle, która lekko wzruszyła ramionami. W obecności wścibskiej sąsiadki wołała milczeć. Wzięła wiszącą koło drzwi smycz i zarządziła:

– Idziemy na spacer.

Rick rzeczywiście długo nie odwiedzał ojca i rodzinnego miasta. Teraz z przyjemnością wdychał nasycone solą powietrze. Krzyki mew oraz szum fal rozpryskujących się na skalistym brzegu tworzyły odwieczną morską symfonię.

Dość dziwny był spacer po latach... Dawniej obejmowali się albo brali pod rękę, ale teraz było to niemożliwe. Rick wsunął ręce głęboko do kieszeni i trzymał się w odległości pół metra od Isabelle. Jeśli jedno z nich niechcący trochę się zbliżyło, drugie natychmiast się odsuwało. Granica była nieprzekraczalna, chociaż wcale jej nie ustalili.

Doszli do starego domu, którego szarość ożywiały stojące na parapetach doniczki z żółtymi i pomarańczowymi nasturcjami. Przed domem w podmuchach wiatru chwiały się

margerytki, a na tle dawniej białego parkanu odcinały się srebrzyste listki lawendy. Rick uświadomił sobie, że zakład ojca znajduje się za następną przecznicą i jako dziecko często przejeżdżał tędy rowerem. Zatrzymał się i wbił wzrok w odrapane niebieskie drzwi.

– Dlaczego tak patrzysz? – zainteresowała się Isabelle.

– Tutaj mieszka pani Polk...

– Już nie mieszka. Umarła w zeszłym roku. Jej synowie kłócą się, co zrobić z domem. Na razie stoi pusty.

– Niezłe miejsce.

– Tak. Budynek wymaga solidnego remontu, bo w obecnym stanie nie jest wart ani ułamek tego, ile grunt pod nim. Bracia mają różne koncepcje. Jeden chce zachować dom w takim stanie i wynajmować urlopowiczom, a drugi zburzyłby go i postawił nowy z kilkoma oddzielnymi mieszkaniami.

Rick wiedział, po czyjej stronie Isabelle się opowiada. Nie lubiła zmian, nie pochwalała tak zwanego postępu, więc na pewno popierała pomysł pierwszego z braci.

Przyjrzał się jej uważnie. Miała granatowe spodnie, błękitną bluzkę i perłowy jedwabny szal. Niedbałym gestem odgarniała włosy, które rozwiewał wiatr. Była odprężona i sprawiała wrażenie szczęśliwej. Dlaczego? Dlatego, że ma wymarzoną pracę czy z powodu jego odwiedzin? Czy możliwe, że nie jest jej obojętny?

To byłoby okropne. Przecież musi powiedzieć jej o zaręczynach z Chloe. Musi rozwiać ewentualną nadzieję, że przyjechał, bo pragnie być z nią jak dawniej. Chrząknął zakłopotany i jednym tchem wyrzucił:

– Niedługo się zaręczam. W grudniu biorę ślub. Pies krótko szczeknął.

– Wiem. Czytałam o tym we wczorajszej gazecie. Rodzina twojej narzeczonej jest dość znana i pewnie dlatego zamieszczono długi artykuł.

Rickowi zrzędała mina. A więc Isabelle nie marzy o jego powrocie. Może kogoś ma i dlatego jest taka rozpromieniona? Ruszyła przed siebie, więc ją dogonił.

– Żenisz się z córką swojego szefa, prawda?

– Tak.

– Gratuluję. – Przystanąła i spojrzała na niego. – Przyjechałeś, bo chciałeś osobiście powiedzieć mi o zaręczynach?

– Roześmiała się. – Widzę po twojej minie, że zgadłam. To miłe, ale jednocześnie to śmieszny przejaw zadufania. Bałeś się, że oszaleję z rozpaczy?

Marnie stanął między nimi i zaczął skomleć. Zakłopotany Rick pochylił się, pogłaskał psa, po czym wyprostował się i oświadczył:

– Nie, Chciałem twojej rady, jak udobruchać ojca. Tylko tyle. Zawsze się rozumieliście. Pewnie widujecie się od czasu do czasu.

– Regularnie raz w tygodniu. Oboje lubimy dobrą kawę, więc spotykamy się w „Coffee Hut”, w tej starej kafejce koło plaży.

Rick zaniepokoił się trochę. Skoro ojciec i Isabelle spotykają się przy kawie, to prawdopodobnie rozmawiają o nim.

– Tata nie wybaczył mi, że nie chciałem zostać skutnikiem. Poza tym nienawidzi

prawników. Jego awersja nasiliła się po drugim rozwodzie. Ma pretensję, że wyjechałem z rodzinnego miasta i...

– I nie ożeniłeś się ze mną – dokończyła Isabelle. – Twój ojciec uparcie obstaje przy swoim zdaniu, ale cię kocha.

– Na to liczę – mruknął Rick bez przekonania. Isabelle przygryzła wargę i zerknęła na niego z ukosa. Niepewne, bezwiednie rzucone spojrzenie było urocze, Rick zawsze wspominał je z rozczeniem.

– O co chodzi? – zapytał.

– O nic.

– No, przyznaj się.

– Naprawdę nic.

– Jesteś pewna?

– Ostatecznie mogę się przyznać, chociaż moje zdanie jest... mało ważne.

– W jakiej kwestii?

– Chodzi mi o... Sam wiesz, że budowanie łodzi to ciężka praca. Pamiętaj o tym i bądź dobry dla ojca. Według mnie ostatnio zrobił się... kruchy.

– Kruchy? Mój ojciec? Wolne żarty!

– Od dawna ma bardzo wysokie ciśnienie i bierze leki... oczywiście jeśli pamięta. Nie chce iść do lekarza, na badania. Przysięga, że rzucił palenie, ale jego ubranie jest przesiąknięte dymem. Martwię się. Bardzo dobrze, że go odwiedzisz.

– Ja też się cieszę.

– Lepiej późno niż wcale.

Ojciec Ricka nigdy nie dbał o zdrowie, ale przybywało mu lat, a on wciąż uważał się za siłacza. Schwycił Isabelle za rękę.

– Chodź ze mną.

– Nie. To są wasze porachunki. Nic tam po mnie.

– Coś ty, tylko z tobą ojciec wpuści mnie do domu.

– Powinieneś przeprosić go w cztery oczy.

– Przeprosić? Co takiego zrobiłem, żeby prosić go o wybaczenie? Czy życie na własny rachunek albo samodzielne podejmowanie decyzji o własnym losie jest grzechem?

– Przecież...

– To ojciec powinien mnie przeprosić. Isabelle zmrużyła oczy.

– Skoro jesteś bez winy, po co w ogóle chcesz zawracać mu głowę? Jeśli pójdziesz z takim nastawieniem, ojciec wyrzuci cię za drzwi. Ile lat znowu upłynie, zanim raczysz wybrać się z kolejną wizytą? A ile życia przed sobą ma twój ojciec?

Rick zaklął pod nosem.

– Wiesz, dlaczego chcę, żebyś poszła ze mną?

– Nie.

– Trudno mi schować dumę do kieszeni.

– Macie wiele wspólnego. Jesteś podobny do ojca bardziej, niż chcesz się do tego przyznać.

- Daruj sobie te cierpkie uwagi. I chodź ze mną.
- Nie. Bądź wyrozumiały i cierpliwy, a wszystko będzie dobrze.

Do tej chwili Marnie siedział spokojnie, jakby chciał słyszeć, o czym rozmawiają ludzie. Nagle poderwał się. Być może zobaczył kota albo psa. Szarpnął się i Isabelle wypuściła smycz z ręki. Pies pognął przed siebie, szczekając i oglądając się co chwila, a zza wszystkich płotów odpowiedział mu chóralny jazgot.

– Marnie! – krzyknęła Isabelle.

Rick puścił się w pogoń, więc ona też ruszyła w pościg.

Och, byle dalej.

Wystarczy biec przed siebie.

Co za radości Co za przyjemności Jestem przywiązany do smyczy, a jednak wolny. Łapy są jak skrzydła, w uszach świszczę wiatr, naokoło rozbrzmiewa psia symfonia. A w dodatku goni mnie dwoje ludzi, których kocham.

Słyszałem krzyk Isabelle i przez moment żałowałem, że sprawiam jej przykrość, ale radość towarzysząca swobodnemu bieganiu wzięła górę nad posłuszeństwem. Zresztą do głosu doszło pobożne życzenie, by moja krnąbrna pani towarzyszyła Rickowi. Chciałem, żeby przy nim przypomniawszy sobie dawne czasy, gdy tak dobrze im było razem. To byłoby oczywiście niemożliwe, gdyby każde z nich poszło w swoją stronę.

Kiedy znalazłem się w pobliżu zakładu pana Manninga, zwolniłem. Liczyłem, że jeśli moja pani dojdzie tutaj, to już zostanie. Gdyby jednak nie chciała, wymyśliłbym coś nowego.

Gdzie jest dom pana Manninga?

Rozejrzałem się, by sprawdzić, w którą stronę skręcić, i przerażony zobaczyłem, że za moment wpadnę pod koła ogromnej ciężarówki...

Isabelle widziała, jak jej ulubieniec wbiega na jezdnię i jednocześnie zauważyła pędzący samochód dostawczy. Za późno!

– Marnie! – krzyknęła na całe gardło.

W tym samym momencie usłyszała przeraźliwy zgrzyt hamulców. Rick skoczył na jezdnię. Rozległ się głuchy odgłos. Isabelle pokonała ostatnie metry z sercem w gardle i na ołowianych nogach.

Z szoferki ciężarówki wyskoczył blady jak prześcieradło kierowca. Pies stał obok Ricka i czekał, a Rick siedział niebezpiecznie blisko przednich kół ciężarówki. Nogi miał podkurczone, głowę spuszczoną. Jedną dłońią podpierał się, drugą mocno ścisnął smycz, aż zbieleły mu kostki. Na jego rękawie pojawiły się czerwone smugi.

Isabelle wbiegła na jezdnię, ale ostry klakson zatrzymał ją w pół kroku. Znowu zapisały hamulce.

– Rick! – krzyknęła.

– Kobieto, uważaj! – ryknął kierowca ciężarówki. Złapał ją i odciągnął na bok. Ciężarówka zatarasowała drogę, ale właściciel mercedesa dodał gazu i przemknął, niemal ocierając się o błotniki.

– Dziękuję panu – szepnęła roztrzęsiona Isabelle.

– Ludzie, czyście poszaleli?! – warknął kierowca. – Zaplanowaliście podwójne samobójstwo? Prawie zabiłem tego maratończyka, a pani o mały włos nie została wątpliwą ozdobą mercedesa.

Isabelle czuła się jednocześnie winna i zawstydzona, wdzięczna i uspokojona. Uśmiechnęła się przepaszająco i przyklęknęła koło Ricka. Z jego brody kapłała krew.

– Jak się czujesz?

– Pierwszorzędnie. Jestem cały i zdrowy. A ty?

– Ja też.

Marnie przysunął się i polizał jej rękę. Gniew zamienił się w czułość. Biedny psiak, całymi dniami zamknięty w domu, na spacerzy wychodził tylko na smyczy, jedynie po plaży mógł biegać swobodnie. Biedak nie znał praw ulicy.

Isabelle pogłaskała pupila i spojrzała na Ricka.

– Ostatnio coś napadło Marniego – powiedziała. – Stale wymyka się spod kontroli.

Oboje przenieśli wzrok na psa, który patrzył na nich niewinnymi oczami przypominającymi czarne guziczki.

Isabelle objęła Ricka w pól i pomogła mu wstać. Rick odwrócił się do kierowcy.

– Pański błyskawiczny refleks ocalił mi życie. Dziękuję.

– Podziękuj pan mechanikowi, który dba o hamulce. To jego zasługa.

Kierowca wsiadł do szoferki, na pożegnanie mocno nacisnął klakson i odjechał.

Rick pokuśtykał na chodnik.

– Podarłeś spodnie – powiedziała Isabelle.

Rick obojętnie obejrzał dziury na kolanach. Isabelle otarła mu brodę, po czym owinęła szal wokół zakrwawionej ręki. Spojrzeli sobie w oczy i przez ułamek sekundy czas stanął w miejscu; nie było teraźniejszości ani przeszłości, a tym bardziej przyszłości. Trzymali się za ręce i nie mogli oderwać od siebie wzroku. Isabelle poczuła się związana z Rickiem bardziej niż kiedykolwiek w przeszłości.

Marnie zaszczeakał niecierpliwie, więc puścili ręce i czarowna chwila minęła. Teraz Isabelle patrzyła na prawie obcego mężczyznę zaręczonego z inną kobietą.

– Bądźże cicho! – syknęła do psa i zwróciła się do Ricka: – W domu mam bandaże, jałowe opatrunki...

Urwała, bo patrzył w dal i wcale nie słuchał. Spojrzała w tę samą stronę i zorientowała się, że są tuż obok zakładu jego ojca, a wśród ludzi zgromadzonych po drugiej stronie czteropasmowej jezdnii stał pan Manning. Zapewne usłyszał krzyki i zgrzyt hamulców i wyszedł zobaczyć, co się stało.

– Oby mój oplakany stan zmięczył twarde serce starego pryka – cicho rzekł Rick. – Może ten wypadek okaże się błogosławieństwem. Chodźmy.

Pies zatoczył koło i... zaplątał się w smycz. Isabelle cierpliwie wyplątywała mu łapy, wykorzystując ten czas, by zastanowić się, jak postąpić.

Najrozsądniej byłoby wrócić do domu, ale tam wiało smutkiem, a tutaj, chociaż niemal doszło do groźnego wypadku, było jej lekko na duszy.

Czy wypada iść z Fickiem? Pan Manning już ją zobaczył, nie może odejść bez przywitania. To byłby afront.

W porządku, pójdzie, ale nie zostanie do końca spotkania, nie wysłucha opowieści o narzeczonej. Kiedy Rick zacznie mówić o Chloe Connors, ona odejdzie.

– Dobrze, chodźmy razem.

Nie mogła się pozbyć wrażenia, że te słowa mają podwójne znaczenie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Isabelle często spotykała się z panem Mannिंगiem w „Coffee Hut”, ale nigdy nie bywała u niego w mieszkaniu. Dwa razy dziennie mijala jego zakład, lecz z ulicy widziała jedynie kilka starych łodzi opartych o płot, jakby na stałe umieszczonych w suchym doku.

Nieopodal bramy stał duży drewniany budynek, w którym na parterze pan Manning urządził swój warsztat, a poddasze przerobił na mieszkanie.

W obszernym parterowym pomieszczeniu zawsze była jakaś łódź. Zbudowanie jednego jachtu zwykle trwało prawie rok. Szkutnik wkładał w pracę całe serce i duszę. Każdy jacht był prawdziwym dziełem sztuki.

Isabelle lubiła ojca Ricka, a mimo to dziwiło ją, że taki ponury człowiek miał aż trzy żony i budował łodzie o pięknym kształcie.

Pan Manning kupił tę posesję rok po śmierci trzeciej żony, kiedy Rick miał osiem lat. Syn miał przejąć cenioną firmę, więc od najwcześniejszego dzieciństwa ojciec szkolił go, przydzielał stosowne do wieku zadania. Rick marzył o zdobyciu wyższego wykształcenia, ale według jego ojca studia były stratą czasu. Pan Manning zmienił zdanie i ustąpił dopiero wtedy, kiedy syn wybrał budowę jachtów jako główny przedmiot studiów. Potem jednak Rick rozmyślił się i poszedł na prawo, co dla ojca było nie do przyjęcia, więc niemal wykłął jedynaka.

Teraz stanęli naprzeciw siebie na chodniku. Pan Manning uśmiechnął się do Isabelle, a synowi rzucił groźne spojrzenie.

- Skąd cię diabli nadali?
- Cieszę się, że się spotykamy – wykrztusił Rick.
- Co tu robisz?
- A jak ojciec myśli?
- Wygląda na to, że życie ci nie miłe i właśnie chciałeś je zakończyć.

Isabelle postanowiła rozładować atmosferę.

- To wina Marniego. Uciekł i gdyby nie pański syn, zginąłby pod kołami.

Energicznie schwyciła Ricka pod rękę, zapominając, że jest poturbowany. Biedak syknął z bólu.

- Hm – mruknął starszy pan.
- Trzeba opatrzyć rany.
- Hm – powtórzył pan Manning.

Odwrócił się i ruszył w stronę domu. Zbliżał się do siedemdziesiątki i ostatnio mocno przytył, ale siwe włosy nadal były gęste jak za dawnych czasów. Nosił zawsze to samo: czarne spodnie na czerwonych szelkach i koszulę w biało-niebieską kratę, a w zimie granatową marynarkę. Przez cały rok chodził w solidnych skórzanych butach. Isabelle nigdy nie widziała go w innym stroju.

Nowa łódź zajmowała prawie całą przestrzeń na parterze. Wielki kadłub spoczywał na solidnym rusztowaniu, naokoło stały drabiny. Brakowało żagli, ale łódź już sprawiała

wrażenie skończonego arcydzieła. Pod jedną ścianą piętrzyły się zwoje lin, stosy drewna, dziesiątki starych pudeł. Na kilku krzyżakach leżały długie laminowane drzewce. Rick wyciągnął rękę.

– Nie dotykaj! – warknął skutnik. – Ślepy jesteś czy co? Za długo przebywasz w mieście, nie widzisz, że lakier jeszcze mokry?

– Masz rację – mruknął speszony Rick. – Całe dzieciństwo spędziłem wśród łodzi, a wystarczyła krótka nieobecność, żebym przestał odróżniać mokry lakier od suchego. – Zerknął na Isabelle, która porozumiewawczo mrugnęła, więc opanował się i łagodniejszym tonem dodał: – Piękna łódź. Podobna do tej, którą pięć lat temu zbudowałeś dla adwokata z Seattle.

– Zmarł na początku roku. Atak serca.

– Och, to przykre.

– Życie płynie dalej. Ten jacht jest dla dentysty z Kalifornii. Już prawie skończony, została tylko kosmetyka. No, idziemy na górę.

Schody były chwiejne, ale starszy pan pokonywał po dwa stopnie na raz. Rick rzucił Isabelle wymowne spojrzenie, jakby pytał: „No i co, czy ojciec jest kruchy?”

Isabelle chętnie by się wycofała, niech ojciec i syn duszą się we własnym sosie, ale pies wbiegł już po schodach i obejrzał się na panią.

– Będziemy tu krótko – zapowiedziała. – Muszę opatrzeć rany Ricka. Kiedy zarządę powrót, masz być posłuszny.

Marnie wesoło zamerdał ogonem.

Mieszkanie było takie, jak zapamiętałem z czasu, kiedy spędziłem tu dwa tygodnie jako szczenię. Rick, któremu pokazano dwa psy, wziął mnie. Dokonał właściwego wyboru, bo jak wieść niesie, mój brat jest utrapieniem dla właścicieli. Zanim Rick dał mnie w prezencie Isabelle, mieszkanie jego ojca było moim królestwem.

Brudne skarpetki i naczynia, stosy gazet i książek, niedbale rzucone ubrania – to stałe tutejsze atrakcje. Pan domu niczego nie wyrzucał, a jak się ma wrażliwy psi nos, takie lokum jest rajem pełnym cudownych woni.

Isabelle spuściła mnie ze smyczy, więc zrobiłem przegląd podłogi. Pod kanapą znalazłem płatki kukurydziane, a pod kuchennym stołem pół herbatnika.

Pan Manning przyniósł apteczkę i z ponurą miną obserwował, jak Isabelle opatruje rany jego syna.

Proszę mnie źle nie zrozumieć. Bardzo współczułem Rickowi, ale niepotrzebnie się narażał, bo przecież panowałem nad sytuacją. Me wiedział o tym, więc próbował mi pomóc. I jaki tego skutek? Biedaczysko był zakrwawiony i kulawy, a ja nie miałem najmniejszego draśnięcia.

Z powodu braku sierści ludzie są delikatni, łatwo ich zranić. Wprawdzie tu i ówdzie mają trochę włosów, ale i te nędzne resztki gołą, przycinają, wyrrywają. To skandal! Nic dziwnego, że często są podrapani i posiniaczeni.

Teraz mała dygresja.

Niefortunne wydarzenie miało ten plus, że podczas opatrywania ran Isabelle musiała zbliżyć się do Ricka. Głowę dam, że sprawiło mu to przyjemność; a przynajmniej wydaje mi się, że warto byłoby dać głowę. Krzywił się i marudził, lecz mnie to nie zwiódło. Moja pani przypomniała mi, że prawdziwy mężczyzna bez jęku znosi tortury. Nie jestem pewien, czy to było dla niego miłe. Prawdę mówiąc, ich bliskość nie wyglądała zbyt romantycznie.

Od ostatniej drzemki upłynęło sporo czasu i byłem senny, ale bałem się zamknąć oczy, żeby niczego nie przegapić. Musiałem trzymać łapę na pulsie i popychać sprawę naprzód. Przyznaję się jednak bez bicia, że akurat nie miałem żadnego pomysłu, co zrobić. Czekałem, aż Rick zacznie opowiadać o narzeczonej, ponieważ to mogłoby stanowić bodziec do działania. Isabelle wyszła, żeby odnieść apteczkę na miejsce, a ojciec i syn wymienili kilka uwag o sporcie. Nim się zorientowałem, wizyta dobiegła końca.

Myślicie, że się zniechęciłem? A skąd! Foksteriery szorstkowłose nigdy się nie zniechęcają. W każdej sytuacji potrafimy improwizować. Kiedy doszliśmy do drogi na plażę, zaskomliłem, zadrzałem i chyba wyglądałem jak kupa nieszczęścia, bo Isabelle i Rick bez dyskusji skręcili w stronę morza.

A tam czekały już wspomnienia...

Rick przez moment zastanawiał się, kiedy ostatni raz wędrował wzdłuż brzegu. To było przed laty właśnie na tej plaży i z tą samą dziewczyną. Tylko że wtedy obejmował ją, a jej usta znajdowały się tuż-tuż... Wtedy należeli do siebie.

Teraz ta śliczna dziewczyna była chłodna, obojętna i trzymała się z dala od niego. Zdjęła sandały i boso szła po piasku. Była lekko ubrana, ale wcale nie drżała z zimna. Widocznie już się przyzwyczaiła do tutejszego klimatu.

Terier pobiegł naprzód, radosnym szczekaniem płosząc stada mew. Rick był zadowolony z takiego obrotu sprawy. Spacer to doskonałe zakończenie spotkania. Przyjechał do Seaportu właśnie po to, by od nowa nawiązać kontakt z ojcem i przyzwicie zakończyć znajomość z Isabelle.

Niestety, próba doprowadzenia do zgody spaliła na panewce. Ojciec nie dał się sprowokować do dyskusji o przeszłości. Jednak jak na swoje możliwości był dość przyjaźnie usposobiony i łaskawie rozmawiał o sporcie. A to już coś! Następnym razem pomówią o jachtach, później o wszystkim innym. Lecz nigdy o tym, co ich poróżniło.

Życie płynie dalej... To normalne.

Rickowi zabrakło odwagi, by powiedzieć o Chloe. Ojciec brawurowo pokonał schody, ale potem usiadł w fotelu i ciężko dyszał. Popielniczka była wprawdzie pusta, jednak to jeszcze nie dowód, że stary palacz zerwał z nałogiem. Zresztą nigdy nie palił w starym drewnianym domu pełnym materiałów do budowy i naprawy łodzi.

Rick postanowił, że następnym razem namówi ojca na wizytę u lekarza i powie o Chloe, a potem przyjedzie z narzeczoną.

Zamknął oczy, chcąc sobie to wyobrazić. Nadaremnie. Nie widział córki wziętego adwokata w zagraconym mieszkaniu szkutnika. Wiedział też, że ojciec zaakceptuje tylko jedną kobietę jako synową. Isabelle. Nigdy Chloe.

– Opowiedz mi o niej. Rick otworzył oczy.

Zawstydzona Isabelle położyła rękę na ustach, a w jej oczach mignął niepokój.

– Naprawdę chcesz?

– Tak – odparła po krótkim wahaniu.

– Nazywa się Chloe Connors, ma brązowe oczy i...

– Tyle wiem, widziałam zdjęcie – przerwała mu niecierpliwie. – Jaki ma charakter, jakie zainteresowania?

– Lubi chodzić po sklepach, rozpira ją energia, ma dużo znajomych. Jest elegancka, świetnie gotuje, uwielbia podróże.

Odrobinę za późno zorientował się, że Isabelle zawsze jest lekko potargana, chodzenie po sklepach ją nuży, przygotowanie dobrej kawy stanowi wyczyn, ma bardzo duże wymagania wobec ludzi, jest domatorką.

Teraz niedbale podwinęła nogawki i weszła do wody.

– Jej ojciec jest ważną szyszką, prawda? – Obejrzała się, a rozwiane włosy przesłoniły jej oczy. – Connors, Henkle i Simms.

Zdziwiony jej wiedzą Rick w milczeniu skinął głową.

– Jak ci się udało uwieść jego córkę?

– Nikogo nie uwiodłem! – zawołał oburzony.

– Przecież wiesz, o co mi chodzi. Żółtodziób zdobył względy jedynaczki...

– Ona mnie sobie upatrzyła – rzekł skromnie Rick.

– Na pewno ci to pochlebia. I pomoże zrobić karierę. Pierwsze zdanie było prawdziwe, ale Ricka ogarnęła złość.

– Jesteś złośliwa.

– Masz rację. Przepraszam.

Rick wymownym spojrzeniem obrzucił jej smukłą sylwetkę, a speszona Isabelle przygryzła wargę. Powoli wszedł do wody. Był jak w transie. Zapomniał zdjąć buty i podwinąć nogawki. Uporczywie patrzył na Isabelle, jakby chciał na zawsze zapamiętać najdrobniejsze szczegóły.

– Tyle wspomnień wiąże się z tą plażą... – szepnęła. – Dlatego za dużo mówię.

Zbliżył się do niej, a wtedy przechyliła głowę i popatrzyła tak, jak setki razy w przeszłości. Cekał, że odwróci wzrok, zrobi coś... cokolwiek... by go powstrzymać.

Nie zrobiła nic.

Ich usta się spotkały. Rick chciał natychmiast się cofnąć, ale nie zrobił tego.

Dopiero po dłuższej chwili odsunęli się od siebie. Rick był speszony.

– Niepotrzebnie czujesz się winny. Ja nie powiem Chloe, ty też nic nie mów. Wszystko przez tę zaczarowaną plażę... Zwyczajny pożegnalny pocałunek... Nic nieznaczący...

I na dowód, że całe zajście nie miało znaczenia, Isabelle roześmiała się i pobiegła przed siebie. Marnie pognał za nią, lecz po chwili przystanął i się obejrzał.

Rick przez moment patrzył nieprzytomnym wzrokiem, po czym westchnął i powoli podszedł do psa.

– Twoja pani ma rację. Pocałowałem ją, ale to przecież nie ma znaczenia.

Westchnął jeszcze raz.

Teraz wróci do Chloe i wszystko będzie jak dotychczas. Słodkie czerwone usta pozostaną miłym wspomnieniem. Sama Isabelle będzie jedynie wspomnieniem.

Rick pokuśtykał w stronę ulicy.

Rick pocałował Isabelle, a ona się roześmiała!

To koniec?

Wątpię...

Czyżby on nie słyszał, jak sztucznie ten śmiech zabrzmiał?

Czy ona nie zauważyła, że zachował się nietypowo? Wszedł do wody w eleganckich butach! To do niego niepodobne.

Czyżbym wyłącznie ja posiadał trochę oleju w głowie? Na to wygląda. Dlatego nie warto liczyć, że ci dwoje wprowadzą moje delikatne sugestie w czyn. Oboje są szalenie mili, ale niestety trochę ograniczeni. Muszę prędko coś wykombinować, bo w przeciwnym razie do śmierci będę sąsiadował z pudlem.

A propos, muszę wyrównać rachunki z Ignatzem, bo przez niego pani Pughill poskarżyła się na mnie. Faktycznie trochę głośno zaszczekałem, kiedy usłyszałem samochód Isabelle. Rick zapowiedział przyjazd, a ja chciałem, żeby zdążyła się uczesać i umalować. Wcale nie ujadłem przez cały dzień, jak twierdziła sąsiadka. Jej zramolały pudel wyl od rana, bo gdy poszła wyrzucić śmieci, wybiegł niezauważony i został na podwórku. Widziałem to z mojego punktu obserwacyjnego przy oknie koło zlewozmywaka. Akurat popijałem wodę z kranu. Pani Pughill przez cały dzień oglądała głupie seriale, a jej pieszczołek skomlił, szczekał, ujadł i wyl.

A później, kiedy jego pani oskarżyła mnie w obecności Ricka, jeszcze warczał.

Oj, dostanie za swoje.

Rick wysuszył spodnie i odjechał, a Isabelle skrzyczała mnie za irytowanie sąsiadki, ucieczkę na ulicy i tarzanie się w piasku. Była nie w sosie, więc pozwoliłem jej marudzić. Potem zadzwoniła jej płaczliwa przyjaciółka, której skargi słyszałem nawet w przedpokoju. Isabelle pocieszała ją, jak umiała, ale nie pisnęła ani słowa o Ricku. Myślałem, że zaraz potem zajmie się mną. Potrzebowałem wsparcia, bo, co tu ukrywać, znalazłem się w trudnym położeniu.

Po długiej rozmowie z przyjaciółką moja pani odgrzała makaron z serem, ale prawie nic nie zjadła. Na szczęście udało mi się odzyskać resztki. Kto to widział, żeby wyrzucać takie dobre rzeczy! Po kolacji Isabelle niespokojnie krążyła po mieszkaniu, włączała i wyłączała telewizor, otwierała i zamykała książkę, siadała i zaraz wstawała. Zaczęło mnie to niepokoić.

Wydawało mi się, że wiem, czego jej potrzeba. Gdy trzeci raz zobaczyła mnie warującego pod łazienką, zrozumiała, co to znaczy i napuściła wody do wanny. Nie dla mnie! Ja nie znoszę mycia, kąpię się wyłącznie pod przymusem. Natomiast lubię, kiedy Isabelle leży w pachnącej wodzie, a mnie pozwala siedzieć koło wanny. W łazience najlepiej nam się „rozmawia”.

Gorąca kąpiel oczywiście podziiała.

– *Małżeństwo Heather jest dla mnie zagadką – odezwała się moja pani.*

Ta sprawa wcale mnie nie interesowała, ale jak zwykle uprzejmie słuchałem.

– *Zupełnie niepotrzebna awantura – ciągnęła Isabelle. – John wybierał się na jakiś nudny zjazd do Kansas City. Marzył mu się „swobodny oddech”, cokolwiek pod tym rozumie. Czemu Heather miała mu za złe, że nie zaproponował jej wspólnego wyjazdu? A John chyba się zorientował, że jego żonie bardzo zależy na wyjeździe, a mimo to jej nie zabrał. Czemu? Małżeństwo wymaga liczenia się z uczuciami drugiej strony. Całkiem niepotrzebnie się pokłócili. Heather została na lodzie, a John mieszka kątem u brata i nie wie, że niedługo zostanie ojcem.*

Umilkła, więc dla zachęty szczeknąłem raz i drugi. Miałem nadzieję, że usłyszę coś ciekawszego od perypetii beksy. Isabelle usiadła i zerknęła na mnie.

– *Wiesz, co moja przyjaciółka wymyśliła? Zaraz po zakończeniu zajęć mam przenieść się do niej, żeby pomóc jej w przygotowaniu przyjęcia u klientki, która mieszka w tym samym bloku. Ja i przyjęcie! Wyobrażasz sobie mnie paplającą o niczym w gronie obcych ludzi? Co ja im powiem? A co im podam? Odgrzane zapiekanki? Jak Heather to sobie wyobraża? Obiecałam, że się zastanowię, ale to zwariowany pomysł. Żyję oszczędnie, nie potrzebuję dodatkowych pieniędzy. Lepiej mieć wolne całe lato, prawda? Wymyślimy jakieś atrakcje. Wolalabym nigdy nie oglądać Portlandu.*

Wiedziałem, dlaczego nie ma ochoty tam jechać. Ja z tego samego powodu chciałem, żeby tam bywała.

I co teraz? Co z tym fantem zrobić?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Po zakończeniu roku szkolnego Isabelle wracała do domu w melancholijnym nastroju. Z jednej strony cieszyła ją perspektywa wakacji, ale z drugiej było jej smutno, że uczniowie, z którymi bardzo się zżyła, we wrześniu przejdą pod opiekę innej wychowawczynie. Pracowała dopiero od trzech lat, więc wszystkie dzieci miały swoje miejsce w jej sercu, nawet chłopiec z trąbką i dziewczynka ze szczurem. Oczywiście pragnęła, by rosły, rozwijały się i zdobywały wiedzę, lecz tego dnia cierpiała z powodu rozstania.

Jadąc do domu, rozważała propozycję przyjaciółki. Co oprócz awersji do gotowania i przebywania wśród obcych ludzi powstrzymuje ją przed wyrażeniem zgody? Praca zajmie najwyżej miesiąc i zasili ograniczone fundusze, a poza tym będzie niejedna okazja, by przemówić Heather do rozsądku. W sumie pobyt w Portlandzie może okazać się pożyteczny.

– Nie – zdecydowała, uderzając dłonią w kierownicę.

Portland oznaczał Ricka, a jego nie chciała widzieć. Nigdy w życiu.

Lepiej pozostać w Seaporcie. Trzeba ruszyć głową i wymyślić coś takiego, żeby Marnie zadowolili się bieganiem po podwórku, nie uciekał za ogrodzenie. Zresztą możliwy jest wyjazd na parę dni, spędzenie tygodnia pod namiotem. No i będzie więcej czasu na spotkania z panem Manniנגiem, podczas których można by go przekonać, by poddał się badaniom. Wreszcie przesadzi kwiaty, przeczyta zaległe książki, obejrzy nowe filmy, może nawet umówi się na randkę.

Pozdrowiła sąsiadkę, która spojrzała na nią wilkiem. Chciała pogłaskać pudła, ale ten warknął i wyszczerzył kły. Była trochę zaskoczona, jednak cieszyła się, że nie słyszy ani słowa skargi na okropne zachowanie swojego pupila.

Otworzyła drzwi... i czym prędzej je zamknęła. Natychmiast podbiegła do okna i spuściła rolety. Zabrakło jej tchu.

– Marnie, jak mogłeś? – wykrztusiła przerażona. – Nie masz sumienia!

Kiedy weszła, terier leżał, jakby był bardzo zmęczony, ale zaraz usiadł i ziewnął. Rozpierała go duma, bo w ciągu siedmiu godzin samotności zrobił nieopisany bałagan.

Krótko przed wynajęciem mieszkania pani Pughill położyła nową wykładzinę, o czym przypominała sublokatorce przy każdej okazji. Mówiła: „Proszę starannie wycierać buty i nie wnosić błota na nową wykładzinę”. Albo: „Niech pani pilnuje, żeby pies załatwiał się poza domem”.

Starsza pani nie grzeszyła subtelnością.

Marnie nie naniósł błota ani nie zanieczyścił wykładziny, ale ją pogryzł. W przedpokoju wygryzł i wydrapał rowek w kształcie koła. Isabelle opadła na kolana i nerwowo pociągnęła wykładzinę, ale oczywiście nie była w stanie naprawić szkody. Jęknęła zrozpaczona, usiadła na podłodze i rozejrzała się. Przedpokój miał co najmniej cztery metry długości, a wykładzina była w jednym kawałku, bez łączenia. Niewidoczne załatanie będzie niemożliwe, nie da się ukryć przestępstwa. Trzeba będzie ponieść konsekwencje.

– Jesteś wstrętny!

Pies przekrzywił łeb i patrzył, jakby nie rozumiał przyczyny zmartwienia swej pani. Kichnął, zaskomlał i liznął jej rękę.

– Tak mnie przepraszasz? – Isabelle wyciągnęła pasmo sztucznego włókna spomiędzy psich zębów, a z sierści zgarnęła okruchy pianki. – To stanowczo za mało. Myślisz, że usunę szkodę, zanim pani Pughill zorientuje się, coś zmalował? Niemożliwe! Wcześniej wyrzuci nas na zbity pysk. I oczywiście zatrzyma całą zaliczkę, a wtedy nie starczy mi pieniędzy na wynajęcie budy dla ciebie, nie mówiąc o pokoju dla mnie.

– Dwieście osiemdziesiąt osiem dolarów i pięćdziesiąt cztery centy. Mniej niż nic... Trzeba będzie harować podczas wakacji – podliczała swoje oszczędności.

Marnie szczechnął na pocieszenie.

– Wiem o jednej pracy, ale... Co będzie z tobą? Nie mogę cię zabrać. Heather nie wpuści psa do domu. Panicznie boi się inspekcji, a przepisy są bezwzględne. Biedaku, będziesz musiał iść do schroniska, a tam jest jak w więzieniu... kraty, podłe jadlo, niewygody. Nie będzie przeciekającego kranu. Będziesz musiał pić z miski, jak inne psy.

Marnie zaczął sapać.

– Niestety, muszę jechać do Portlandu – ciągnęła Isabelle na głos, by oswoić się z nieprzyjemną myślą – chociaż wiąże się z tym pewne ryzyko. Co będzie, jeśli Rick znowu zechce odwiedzić kogoś w bloku Heather? A może jego narzeczona tam mieszka? Spotkamy się w windzie i...

Straszna perspektywa! Musi być inne wyjście, inna możliwość zarobku. Niestety, za późno, żeby zgłosić się jako nauczycielka na wakacyjnym kursie. W mieście prawdopodobnie znajdzie pracę, ale fizyczną i za najniższą stawkę. Aby zarobić na usunięcie szkody, trzeba będzie przez całe wakacje tyrać od rana do wieczora. Jeśli zgodzi się pomóc Heather, w ciągu kilku tygodni zarobi na wykładzinę i zaoszczędzi połowę wakacji. Może warto zaryzykować spotkanie z Rickiem.

Chcecie wiedzieć, dlaczego posmutniałem?

Po pierwsze, miałem kawałki włókien między zębami, a okruchy pianki w nosie. Po drugie, ja miałbym znosić więzienne warunki? Za żadne skarby. Schroniska są dla dużych, spokojnych psów, a nie dla takiej małej ciekawskiej wiercipięty jak ja. Nie ma mowy.

Schronisko to odpowiednie miejscem dla pudli, zwłaszcza takich o imieniu Ignatz. Koniec, kropka.

Czy przedobrzyłem?

Na to wygląda.

Moja pani wybiera się do Portlandu beze mnie!

Stanął jednak na tym, że Marnie też pojedzie. Z bardzo prozaicznego powodu – schronisko za dużo kosztowało. Isabelle miała tylko jedną lubiącą psy koleżankę, która zgodziłaby się wziąć teriera, ale akurat wybrała się do Kanady. Pan Manning wspaniałomyślnie zaoferował pomoc, lecz Isabelle nie skorzystała. Starszy pan miałby mnóstwo kłopotów z pełnym fantazji, niesfornym psem. Zwłaszcza po ostatnim wypadku,

kiedy i psiak, i Rick omal nie zginęli pod kołami.

Rick! A on nie mógłby pomóc? Na pewno ma duże mieszkanie.

Decyzja Isabelle bardzo ucieszyła Heather, która z radości zgodziła się wpuścić psa do mieszkania. Zresztą przyjaciółki miały nadzieję, że Rick prędko go zabierze. Isabelle uprzedziła panią Pughill, że wyjeżdża na dość długo, wyłączyła prąd i zakryła dziurawą wykładzinę. Wprawdzie kilim na środku przedpokoju wyglądał nieco dziwnie, ale jeśli sąsiadka wybrałaby się na inspekcję, niczego nie zauważy. Chyba że podniesie kilim...

Isabelle dokładnie wymierzyła przedpokój, wzięła skrawek wykładziny i pojechała szukać podobnej. Znalazła dopiero w trzecim sklepie. Kiedy usłyszała cenę, na moment zaniemówiła, ale w końcu wpłaciła zaliczkę.

Potem kupiła czarne spodnie i białą bluzkę, czyli służbowy strój pomocnicy Heather, zapakowała walizkę i zamknęła drzwi na wszystkie spusty.

Marnie był niezwykle podniecony.

Isabelle sądziła, że zastanie przyjaciółkę smutną, z zapuchniętymi oczami. Tymczasem Heather była uśmiechnięta, krzątała się po kuchni i od razu podała przystawkę z krewetką i ogórkiem.

– Jak ci smakuje? Dodałam szczyptę kopru. Ciekawe połączenie, prawda? Jutro muszę mieć próbki tego, co podam za dwa tygodnie, dlatego sprawdzam nowe przepisy. John zwykle mi pomagał, ale jak wiesz, jest w Kansas City. A może już znowu u brata... Nieważne. Zamknij Marniego w pokoju, bo do kuchni psom wstęp wzbroniony. Jeśli wpadnie inspektor sanitarny, będzie bieda.

W dużej kolorowej kuchni dominowały barwy żółte, pomarańczowe i czerwone w różnych odcieniach. Ściany zdobiły plakaty reklamujące żywność. Wszędzie stały kuchenne akcesoria, chyba z całego świata.

Isabelle zostawiła Marniego w pokoju gościnnym, zamknęła drzwi, ale po sekundzie cichutko je uchyliła. Grzecznie siedzący terier miał podejrzany wyraz oczu, więc na wszelki wypadek przywiązała smycz do komody. Pupilek ostatnio dziwnie się zachowywał...

Po powrocie do kuchni przeszła się wzdłuż stołów oraz szafek zastawionych talerzami, półmiskami, salaterkami, na których leżały surowe warzywa, świeże owoce, mięso, wędzone ryby, pieczywo. Wszystko wyglądało bardzo apetycznie, a ona była głodna. Zaburczało jej w brzuchu.

– Spróbuj łososia – powiedziała Heather.

Isabelle skwapliwie skorzystała z propozycji i z pełnymi ustami zapytała:

– Kto to wszystko zje? Heather niedbale machnęła ręką.

– Trochę my, większość jest dla jutrzejszych klientów, a część dla organizatora przyjęcia zaręczynowego. Jutro wieczorem przyjedzie na degustację. Resztę próbek zamrozę.

Isabelle bacznie przyjrzała się przyjaciółce.

– Jak się czujesz?

– Doskonale.

– Ciężarne kobiety podobno nie mogą patrzeć na jedzenie.

– Mam strusi żołądek.

– Ale...

– Jestem w dobrej formie.

Heather rzeczywiście ładnie wyglądała. Była wysoka, miała płomienne, rude włosy upięte na czubku głowy. Czasem przywodziła na myśl irlandzkiego setera.

Na początku roku mąż namówił ją, by zwolniła pomocnicę i obiecał pomagać. Tłumaczył, że dzięki temu będą więcej czasu spędzać razem. Heather zgodziła się, ale John prędko stracił zapał i została sama na placu boju.

– Bądź tak dobra i przygotuj sos limę – zarządziła teraz. Isabelle zakrztusiła się z wrażenia.

– Cooo?

– Limę aioli.

– A co to takiego? Zapomniałaś, że nic nie umiem?

– Pamiętam, pamiętam.

– Zrobię, co każesz, ale muszę mieć dokładne instrukcje.

– Umiesz przyrządzić majonez?

– Zawsze kupuję. A ty robisz sama?

– Oczywiście.

– Nie wiedziałam, że są jeszcze ludzie, którzy bawią się w coś takiego.

– Przecież to proste. Mieszasz żółtka z olejem.

– Nigdy nie mieszałam... – Isabelle urwała, słysząc skrobanie do drzwi.

– Na naukę nigdy nie jest za późno. Przekonasz się, jakie to proste – orzekła Heather. – Na razie sobie poradzę. Zadzwoń do Ricka.

Isabelle miała poważne wątpliwości, czy jako podkuchenna zarobi na nową wykładzinę. Położyła rękę na klamce, ale jeszcze się odwróciła.

– Nie poznaję cię. Wczoraj płakałaś jak bóbr, a dziś tryskasz humorem, jakby nic się nie stało.

– Dość łez już wylałam. Muszę być pogodna ze względu na dziecko. – Pogładziła płaski brzuch. – John jest egoistą i nudziarzem. Typowy księgowy! Nie potrzebuję go.

Spuściła głowę, ale Isabelle zdążyła dostrzec łzy.

– Idę dzwonić.

– Czego ode mnie oczekujesz? – zawołał Rick.

– Pomocy. Chciałabym, żebyś wziął Marniego na kilka tygodni.

– Dlaczego tak długo?

– Pomagam znajomej, która gotuje i piecze na dużą skalę. Bez psa będzie mi łatwiej.

– Czy dobrze słyszę? Ty pomagasz gotować?

– Nie zadawaj pytań, tylko przyjeżdżaj – syknęła Isabelle.

– Bardzo mi przykro, ale nie mogę.

– Nie prosiłam cię o psa – krzyknęła. – Dałeś mi czworonożnego tyrana, więc przynajmniej pomóż, kiedy utrudnia mi życie.

– Naprawdę nie mogę. Przepraszam. Mam mnóstwo zajęć, brak mi czasu i możliwości. Wybacz, ale muszę kończyć.

Isabelle rzuciła słuchawkę i przez minutę sapała ze złości. Marnie patrzył na nią wyczekująco.

– Rick cię nie weźmie.

Terier zaskomlił, więc przykucnęła i pogłaskała szorstką sierść.

– Biedaku, co my tu robimy? – szepnęła. – Chcę wrócić do domu. A ty?

Pies pochylił łeb, położył się i zaczął się turlać. Jego zachowanie przywołało obraz sprzed czterech lat: lato, ona, Rick i psiak. Pojechali w góry, zatrzymali się nad strumieniem i wszyscy troje turlali się po miękkiej trawie.

– Przykro mi, że Rick cię nie chce, ale nie martw się, coś wykombinuję.

Wieczorem pilnie obserwowała, jak Heather robi majonez i przygotowuje limę aioli. Zdumiewające! Później przyjaciółka zajęła się krabami, a jej zleciła pieczenie na ruszcie zielonej papryki.

Rano Isabelle łuskała kolby kukurydzy na kukurydziany chleb, a przed lunchem... pokroiła w kostkę kolendrę i posiekała cebulę! Niestety, ten numer nie przeszedł i musiała powtórnie kroić i siekać.

Tego dnia nauczyła się sprawnie układać gorące potrawy, zwozić gotowe jedzenie windą towarową do podziemnego garażu, ustawiać wszystko w odpowiedniej kolejności w specjalnie wyposażonym samochodzie i rozwozić do klientów. Wykazała się przy tym większymi zdolnościami niż przy gotowaniu. Obsługiwała gości sprawnie, z uprzejmym uśmiechem.

Na zakończenie odbyła przeszkolenie w zakresie sprzątnięcia, zabezpieczania resztek i korzystania ze zmywarki.

Pierwszego dnia już o trzeciej po południu leciała z nóg. W czarnych spodniach i białej bluzce ozdobionej muszką czuła się jak groteskowy sobowtór Charliego Chaplina. Brakowało jej jedynie wąsika.

Niecierpliwie ściągnęła muszkę i z przerażeniem patrzyła, jak Heather wyciąga nowe produkty.

– Czy ta robota nie ma końca? – westchnęła.

– Żadna nie ma. Wieczorem przychodzi Freddy Randy.

– Kto to taki?

Heather odkroiła wierzch dużego bochenka chleba.

– Organizator przyjęcia zaręczynowego, już ci mówiłam. Zjawi się za trzy godziny, żeby sprawdzić, co potrafisz zrobić.

– Odpocznij, połóż się na chwilę.

– Nie mogę. Podobno narzeczona jest bardzo wymagająca.

Wszystko przez Johna. Obiecał pomóc, a teraz zostałam sama – jęknęła Heather i natychmiast się zawstydydziła. – Przepraszam, bardzo mi pomogłaś. Dzięki tobie uniknęłam kompromitacji.

– Wiem, co miałaś na myśli. Niestety, nie pomogę ci gotować.

– Naprawdę robisz postępy. Teraz zajmij się psem, a ja podpiekę grzanki i natrę czosnkiem.

– Dla kogo to?

– Dla nas. Marzę o sałatce i czosnkowych grzankach. Podjemy sobie, jak Freddy pójdzie. Zamknij Marniego w mniejszej łazience. Pies biegający po mieszkaniu to nie najlepsza reklama dla mojej firmy.

– Szkoda, że Rick nie chce go wziąć – setny raz powtórzyła Isabelle.

– Na mężczyzn nie można liczyć.

– Wyprowadzę Marniego na krótki spacer i dam mu jeść. Po jedzeniu będzie grzecznie spał. Potem ci pomogę. Czy Freddy Randy to prawdziwe imię i nazwisko?

– Chyba tak.

Isabelle z radością wyrwała się z kuchni. Dziwiło ją, że przyjaciółka nie ma dość gotowania. Po co męczyć się przygotowaniem kolacji? Nie lepiej coś odgrzać? Jeżeli John lubi kucharyć, Heather powinna skakać koło niego. Taki mąż to skarb. A może on ma dość gotowania w dni wolne od pracy biurowej... Faktycznie trudno wierzyć mężczyznom i poważnie traktować ich obietnice.

Marnie siedział sztywno na środku łóżka i wyglądał jak miniaturowy sfinks. Wiedział o zakazie wskakiwania na łóżko, ale jak zwykle zrobił to, co chciał.

– No, idziemy.

Isabelle zamierzała zejść po schodach i wyjść bocznymi drzwiami, by nikt ich nie widział.

– Będziesz grzeczny? Terier zaszczekał jeden raz. Co to oznacza?

Nie wiadomo.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Przyjechałem do Portlandu nie po to, by beczynnienie tkwić w cudzej sypialni, ale dzień nie był całkowicie stracony. Pozbawiony możliwości działania dużo spałem, a między drzemkami skupiałem się, by telepatycznie urabiać podświadomość Isabelle i Ricka.

Mojej pani wysłałem następującą informację: „Marzę o czymś na ząb. „Natychmiast dostałem pyszny kąsek, który niestety starczył na jeden chaps. A zapachy w tym mieszkaniu są wprost cudowne.

Postanowiłem wydostać się z sypialni, żeby nikt nie widział. Klamka była zwyczajna, co napawało mnie otuchą, że wystarczą dwa, trzy podskoki i otworzę drzwi. Próbę odłożyłem na później, bo jeszcze nie wiem, jak zamknąć drzwi z drugiej strony. Isabelle nie może przejrzeć moich zamiarów. Jeśli zorientuje się, że potrafię otworzyć drzwi, przywiąże mnie do nogi od łóżka, co pokrzyżuje mi szyki, gdy nadejdzie czas... rozwinięcia akcji.

Rickowi wysłałem prośbę: „Weź mnie do siebie. „Jego kategoryczna odmowa zaopiekowania się mną była jak grom z jasnego nieba. Poczulem bolesne uklucie w okolicy serca, ale jak już kiedyś wspomniałem, foksteriery szorstkowłose zamiast zniechęcać się przeciwnościami, rozwijają inicjatywę.

Dlatego głęboko się zamyśliłem.

Telepatyczne działanie dostarcza mniej satysfakcji niż konkretny czyn, więc byłem czujny i szukałem różnych możliwości wpływania na bieg wydarzeń.

Aha, zdradzę wam, że jedno szczeknięcie oznacza zgodę. Chyba że w połowie tego szczeknięcia pies zmieni zdanie. Wtedy oznacza sprzeciw. Albo na odwrót.

Freddy Randy miał około trzydziestu pięciu lat. Przedwczesną łysinę rekompensował długimi włosami związanymi na karku, mówił za głośno, zbyt żywo gestykulował, często wybuchał nerwowym chichotem.

Isabelle, ubrana stosownie do roli kelnerki, co kwadrans stawiała na stole tacę z wykwinnymi koreczkami. Freddy oglądał każdą przystawkę, jakby to był rzadki klejnot przeznaczony na wystawę w muzeum. Heather informowała go o składnikach, a on mówił coś cicho do miniaturowego mikrofonu.

Isabelle obsługiwała go ze służbowym uśmiechem przyklejonym do ust, ale myślami była daleko. Zastanawiała się, jaka pogoda jest w Seaporcie, czy wścibska sąsiadka zajrzała do jej mieszkania, jak wytrzyma cały miesiąc w roli podkuchennej i kelnerki.

Gdy rozległ się dzwonek, drgnęła i omal nie upuściła tacy. Freddy poderwał się jak ukłuty szpilką.

– Ja otworzę – zawołał. – To na pewno oni. Narzeczona chce sama wszystkiego dopilnować.

Wyraz jego twarzy oraz ton głosu wymownie świadczyły, jak ocenia takie wtrącanie się. Otworzył drzwi i głośno się roześmiał.

Heather podeszła do Isabelle.

– Nie dosłyszałam nazwiska narzeczonego. Okazuje się, że narzeczoną spotkam w windzie, ale jej nazwisko nic mi nie mówiło. Gdybym uważniej czytała gazety, na pewno bym skojarzyła. Ale przez Johna do niczego nie miałam głowy.

Isabelle ogarnęło złe przeczucie.

– Podziwiam twój spokój – dodała Heather. – Kiedy usłyszałam, że oni zaraz tu przyjdą, omal nie spadłam z krzesła, a ty nawet nie mrugnęłaś.

– Bo... zamyśliłam się – wyjąkała Isabelle. – Kto ma przyjść?

Nim Heather zdążyła odpowiedzieć, Freddy wprowadził gości. I wszystko stało się jasne. Mężczyzna bardzo przypominał Ricka z tego prostego powodu, że był to Rick we własnej osobie.

– Ty tutaj? – zdziwił się. – Dzień dobry.

Zapadło krępujące milczenie, które po chwili przerwała Heather:

– Witam państwa. Czy mnie jeszcze pamiętasz? Rick z trudem oderwał oczy od Isabelle.

– Nie przypuszczałem, że tu się spotkamy. – Spojrzał na narzeczoną. – Cemu mi nie powiedziałaś, że idziemy do Heather Stewar?

– To jest pani McGee.

– Wysłałam za mąż Heather wyciągnęła rękę na powitanie, ale Rick tego nie zauważył.

– Bardzo miłe spotkanie. Dawno się nie widzieliśmy. Wiesz, Chloe, byliśmy na tym samym roku.

– Co ci się stało? – zapytała Heather. – Wyglądasz, jakbyś walczył z bestią.

– Gonił jakiegoś psa, żeby nie wpadł pod samochód, i sam prawie wyładował pod kołami – wyjaśniła jego narzeczoną.

– Tatuś radzi mu podać do sądu właściciela psa. Albo miasto za brak odpowiedniej kontroli nad zwierzętami. A on ma opory i nie chce.

Rick zerknął ukradkiem na Isabelle, ale prędko odwrócił głowę. Czyżby bał się, że zaraz wyjdzie na jaw, o czyjego psa chodziło?

Isabelle oczywiście nie pisała ani słowa, chociaż była ciekawa, jakie szczegóły podał, a jakie przemilczał.

– Na szczęście przyjęcie zaręczynowe dopiero za dwa tygodnie – westchnęła Chloe.

Była niższa i szczuplejsza od Isabelle, miała gładko zaczesane włosy i staranny makijaż. Elegancki biały kostium, jedwabny szal oraz perfumy pochodziły z najwyższej półki.

Isabelle poczuła się jeszcze bardziej komiczna. Ona i jej przyjaciółka wyglądały tak, jakby zamierzały wystąpić w wodewilu.

Chloe wyczuła napięcie, bo cierpkim tonem spytała:

– A to kto?

Isabelle zorientowała się, że to pytanie odnosi się do niej.

– Moja znajoma. – Rick dokonał prezentacji: – Isabelle Winters, Chloe Connors.

– A więc to jest ta Isabelle!

Rick przytaknął, a Isabelle poczuła złość. Po co o niej opowiadał!

– Gdziekolwiek się pojawimy... w byle sklepie, warsztacie czy banku... Rick wszędzie ma znajomych. – Chloe pogłaskała narzeczonego po policzku. – Zdaniem tatusia prawnikowi

znajomości z ludźmi pracy bardzo się przydają, ale nie przypuszczałam, że mój narzeczony zadawał się z kelnerką.

Zadawał się! Co za określenie!

– Jestem nauczycielką. Pomagam przyjaciółce.

Widząc wystraszoną minę Heather, Isabelle uświadomiła sobie, że niepotrzebnie dała się sprowokować.

Freddy wybuchnął nerwowym śmiechem, wziął swoją klientkę za rękę i zachwalając przystawki, podprowadził do stołu. Heather podążyła za nimi.

– A więc pomagasz Heather – odezwał się Rick szeptem.

– A więc to jest ta córeczka pryncypała – mruknęła z gryzącą ironią.

– Isabelle! – rzucił ostrzegawczo.

– Skąd ta snobka wie, że „zadawałeś się” ze mną?

Rick stanął w obronie narzeczonej.

– Może rzeczywiście źle się wyraziła, ale żyje w napięciu. Wiesz, zaręczyny to ciężka sprawa.

– Nic jej nie usprawiedliwia!

– A ty chciałabyś spotkać byłą sympatię narzeczonego, która przygotowuje jedzenie na twoje zaręczyny? Zrozum.

– Nie rozumiem ani jej, ani tego, co ty tu robisz. Wynajęliście Freddy’ego, on jest odpowiedzialny za przyjęcie, więc niech każdy zajmie się swoimi sprawami. Idźcie, skąd przyszliście.

– Chloe chce o wszystkim decydować.

– Żeby nie podano prostokątnych krakersów zamiast okrągłych?

– Jesteś zgryźliwa. Mnie odsyłasz do domu, a czemu sama nie wrócisz tam, gdzie twoje miejsce?

– Bo prezent od ciebie spowodował... uszczerbek w moich finansach. Dlatego, panie prokuratorze, potrzebna mi dodatkowa praca.

– Wracaj do Seaportu. Dam ci, ile potrzebujesz.

– Miałabym wziąć pożyczkę od ciebie? – Prychnęła pogardliwie. – Nigdy w życiu.

– Skąd w tobie tyle jadu?

Isabelle popatrzyła w jego zagniewane, czarne oczy. Pewnie pociemniały ze złości, bo skrytykowała jego ukochaną.

Ta myśl uderzyła ją jak obuchem. Nie dało się ukryć, nadal żywiła wobec Ricka cieplejsze uczucia. Zwłaszcza po pocałunku na plaży.

Czyżby pragnęła go odzyskać?

Nie, to już przebrzmiała historia. Za bardzo się różnili, nie wytrzymałaby z Rickiem prawnikiem. Ale to nie znaczy, że ma ochotę patrzeć na jego miłość do innej kobiety.

Stanowczo nie.

Opanowała się. To nie czas i miejsce. Wypada pamiętać o interesach pani domu.

– Przepraszam – rzekła bez prawdziwej skruchy.

– Chloe bywa... trudna.

- Bo jest zepsuta do szpiku kości.
- Znowu zaczynasz.
- Przepraszam.
- Kochanie! – zawołała Chloe. – Idziesz?

Rick rzucił ostatnie ostrzegawcze spojrzenie i odszedł.

Isabelle nie wiedziała, co robić. Mogła pójść do kuchni albo do pokoju gościnnego, lub tkwić w przedpokoju jak kołek Pomyślała o zamkniętym psie. Przestraszyła się, że Marnie zacznie szczekać.

Prędko ruszyła do pokoju. Przypilnuje psa do końca wizyty, a potem w ramach rekompensaty umyje Heather ręcznie malowaną porcelaną, wypucuje kuchnię, czy czego sobie przyjaciółka zażyczy.

Drzwi pokoju były otwarte, a pies zniknął!

Jak mu się udało uciec?

I gdzie teraz jest?

Moja zwięzła obserwacja:

Ludzie sądzą, że pies wszystko zje, i na ogół mają rację. Lecz charakter psa poznaje się nie po tym, co je, gdy nie ma wyboru, ale po tym, co wybiera, gdy jest z czego.

W jadalni stół był zastawiony półmiskami ze zwiędniętą sałatą, cząstkami pomidorów, natką pietruszki. Prawie wszystkie przystawki znikły.

Marniego tu nie było. Isabelle odetchnęła z ulgą. Poszła do bawialni przekonana, że pies siedzi przy Ricku.

Rick i Chloe siedzieli na kanapie, Freddy naprzeciwko i coś im wyjaśniał, żywo gestykułując. Heather siedziała w fotelu, trochę z boku.

Psa ani śladu.

Trzeba sprawdzić w łazience i w kuchni!

Kuchnia!

– Szukasz czegoś? – cicho zapytała Heather.

– Nie.

– Narzeczeni zdecydowali się na morskie menu. Będą ostrygi, krewetki... Ciekawe, prawda? – dodała martwym głosem, co zaniepokoiło Isabelle.

– Morskie menu? – powtórzyła zaskoczona. Rick był uczulony na surowiznę.

– Nie tylko ostrygi i krewetki. Kraby i małże też – radośnie dodał Freddy.

– Mój przyszły teść jest człowiekiem morza – oznajmiła Chloe z poważną miną. – Na pewno zaaprobuje menu. A ja mam nadzieję, że w ten sposób przełamiemy lody. Rick jest zachwycony.

Zdaniem Isabelle Rick był daleki od zachwyty. Przynajmniej ten dawny Rick byłby. Co wiedziała o jego nowym, zmienionym wydaniu? Bardzo mało. Oczami wyobraźni zobaczyła starego pana Manninga, jak w kraciastej koszuli i spodniach na czerwonych szelkach zajada ostrygi. Z trudem ukryła rozbawienie.

– Ale – kontynuowała Chloe – istnieje ważniejszy powód takiego wyboru. Mój tatuś szalenie lubi owoce morza i przepada za rosyjskim kawiozem.

– Mój tatuś też lubi egzotykę: polskie kielbasy.

Na widok zbolalej miny Heather, Isabelle zreflektowała się. Jej błyskawiczna riposta rzeczywiście była nie na miejscu.

– Wcale mnie to nie dziwi – wycedziła Chloe lodowatym tonem.

– Owoce morza... Wykwintne menu... – mruknęła Isabelle. – Państwo wybaczą.

W tym momencie kuchenne drzwi otworzyły się, z hukiem uderzając o ścianę, i do pokoju wbiegł terier z dużym kawałem chleba zwisającym z pyska. Zgrabnie minął Isabelle, ale jeszcze zgrabniej wskoczył na kolana białej damy, która przerażona zepchnęła go i zerwała się na nogi.

Niezrażony psiak przyjaźnie merdał ogonem.

– Co to takiego?! – wrzasnęła Chloe. – Czego ode mnie chce? Wyrzucicie go stąd!

Rick wyjął z psiego pyska chleb, podał Isabelle i wziął teriera na ręce. Starał się zachować powagę.

– To Marnie, foksterier ostrowłósy.

– Ale co... jak... skąd się wziął?

– Isabelle dostała go kiedyś ode mnie. Śliczne stworzenie.

– Rick pocałował czubek psiego ucha, a terier liznął go w rękę. – Jesteś najgrzeczniejszym psem pod słońcem, prawda? Ale czasem rozbrykanym i psotnym.

Isabelle zmiętkło serce. Tak potrafił mówić Rick, którego znała i kochała. Jej oczy zaszczyły mgłą. Zapomniała, gdzie jest. Znowu znalazła się na plaży, a Rick patrzył na nią hipnotycznym wzrokiem i szedł do niej po wodzie. Czuła chłodne krople na twarzy i ciepło bijące od Ricka...

– Pies tutaj? – odezwał się Freddy.

Isabelle błyskawicznie wróciła z krainy marzeń. – Tak. Wyciągnęła ręce, więc Rick podał jej teriera.

– Wybiegł z kuchni – ciągnął Freddy.

– To wbrew przepisom, prawda? – zapiszczała Chloe. Pytanie wyrwało Heather z odrętwienia.

– Pies w mojej kuchni? Niemożliwe! – powiedziała stanowczo.

– Na własne oczy widziałem, jak stamtąd wypadł. Heather spojrzała na przyjaciółkę.

– Przepraszam. Nie wiem, jak wydostał się z pokoju. Kupię budę zamykaną na klucz i...

– Przepisy są bardzo rygorystyczne – przerwał jej Freddy.

– Można stracić uprawnienia.

– Kto i jak dowie się o tym drobnym incydencie? – zapytała Isabelle na pozór spokojnie.

– Jesteśmy tu z wizytą, nie mieszkamy na stałe. Marnie już nigdy nie wejdzie do kuchni, dopilnuję tego.

– Skąd mam mieć pewność? – wtrąciła się Chloe. – Nie mogę powierzyć organizacji zaręczynowego przyjęcia komuś, kto lekceważy przepisy sanitarne. Mój tatuś nie zgodzi się na to.

Isabelle miała ochotę na złośliwy komentarz, ale ugryzła się w język.

– Ja nie lekceważę przepisów – odezwała się Heather. – Nie trzymam zwierząt w domu.

– Chwileczkę. – Isabelle podeszła do Chloe. – Czy pani grozi, że wycofa zamówienie?

Zaperzona Chloe otworzyła usta, ale Rick nie dopuścił jej do głosu.

– Wcale się nie wycofujemy – oświadczył bezapelacyjnym tonem.

Chloe gniewnie zmarszczyła brwi.

– Zastanów się – powiedział innym tonem, który u Isabelle wywołał znany dreszcz. – Nic nie uległo zmianie. Wszystkie przystawki nam smakowały, a Heather zgodziła się na zmianę menu. Jutro Isabelle znajdzie miejsce dla psa i nie będzie problemu. Prawda?

– Oczywiście. Już go nie ma, bo weźmiesz Marniego do siebie. Dzisiaj. Prawda?

Rick patrzył na nią przez długą chwilę. Wyraźnie słyszała tykanie zegara, urywany oddech Heather, gniewne sapanie Chloe i zduszony śmiech Freddy'ego.

– Dobrze, wezmę – odparł w końcu Rick.

Marnie widocznie zrozumiał jego słowa, bo zaczął się wiercić.

– Ale... nie możesz – wyjąkała Chloe. – Pan Charles...

– Zostaw to mnie. – Rick odebrał psa od Isabelle. – Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

– Czyli zostaje tak, jak ustaliliśmy? – Freddy roześmiał się; był zadowolony, że klienci... a raczej pieniądze ojca klientki nie wymkną mu się z rąk. – Pani McGee, nadal będziemy w kontakcie, ale... żadnych zwierząt w domu. Przez dwa tygodnie, do przyjęcia. Dom państwa Connorsów w West Hills jest imponujący. W takim jeszcze pani nie była.

– Możliwe – powiedziała Heather słabym głosem. Isabelle poszła po miskę i smycz. Cieszyła się, że Marnie nie będzie przeszkadzał, a jednocześnie było jej smutno. Wróciła i pieszczotliwie pogłaskała pupila.

– Rick, dziękuję.

– Postawiłaś mnie w sytuacji bez wyjścia – rzekł oschle.

– Wiem.

– Nie chcę, żeby grzechy tego urwisa odbiły się na Heather.

– Kim jest pan Charles? To właściciel mieszkania? Będziesz miał kłopoty, kiedy wrócisz z psem?

– Dopiero teraz martwisz się o to? Nie za późno?

– Trochę. Niedawno mówiłeś, że nie możesz wziąć odpowiedzialności za psa.

– Zmieniłem zdanie pod przymusem – rzekł z bladym uśmiechem Rick. – Nie przejmuj się panem Charlesem.

– Dobrze pilnuj mojego pupilka. Ostatnio bardzo dziwnie się zachowuje...

Podeszła Chloe. Widocznie chciała wkraść się w łaski Marniego, bo pogłaskała go i zaczęła słodko przemawiać. Terier miał zadowoloną minę, a Isabelle poczuła ukłucie w sercu.

Kiedy goście wyszli, przyjrzała się bladej Heather.

– Bardzo cię przepraszam. Zachowałam się karygodnie, masz prawo mnie wyrzucić. Byłam niegrzeczna, grubiańska, a pies...

– Co ty wygadujesz? Spisałeś się na medal. Freddy i jego głupia klientka całkiem mnie

wykończyli. Co za bezczelność! Najpierw wychwalali przystawki pod niebiosa, a potem zmienili zamówienie! Po co tak się wysilałam? Niech nie myślą, że będzie druga degustacja. Nic więcej nie spróbują.

– Słusznie.

– Zżarli wszystko, co było na stole... oprócz kwiatów... Chloe już zaaprobowała moją propozycję, ale ten chichoczący bałwan wyskoczył z czymś, co rzekomo jest teraz w modzie. A malowane ciele nazwiskiem Connors chce mieć najmodniejsze menu.

– Wyglądałaś podejrzanie, więc bałam się, że Marnie...

– Byłam wściekła jak wszyscy diabli. Gdyby nie twój pies, udusiłabym narzeczoną twojego Ricka.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Rick i jego narzeczona wsiedli do windy. Chloe głaskała teriera i czule do niego przemawiała, ale wyglądało to sztucznie. Zdecydowanie nie była typem „psiej mamy”.

Rick nie chciał wejść na kawę. Bał się, że nie upilnuje psa i urwis narobi bałaganu w nieskazitelnie czystym mieszkaniu Chloe. Ale był jeszcze jeden, bodaj ważniejszy powód. Nie chciał zostać sam na sam z narzeczoną, by nie odpowiadać na pytania o Isabelle. Poza tym wolał nie tłumaczyć, dlaczego z nią zerwał. Tę kwestię zamknął rok temu, podczas jednego z pierwszych spotkań z Chloe, i nie zamierzał już do niej wracać. Przynajmniej nie tego wieczoru.

Uśmiechnął się na wspomnienie Isabelle. W stroju kelnerki, z włosami ściągniętymi w kok na czubku głowy, czuła się chyba okropnie. Była bardziej zdziwiona od niego.

Niechętnie przyznał się, że pożegnalna wizyta u niej wywołała więcej pytań niż dała odpowiedzi. Isabelle uznała pocałunek za drobiazg bez znaczenia i oczywiście miała rację, ale on nie mógł zapomnieć. Dlaczego? Czemu jego serce zabiło dziś mocniej? Dlaczego zirytowała go arogancja Chloe? Przecież to rozumiałe, że w obecności Isabelle jego narzeczona czuła się zagrożona. Należało jej raczej współczuć, niż się złościć.

Co ze mnie za narzeczony!

A może wciąż kocham Isabelle?

Nie, to niemożliwe!

Czyżby gordyjski węzeł?

Jak go rozwiązać?

Istniało kilka możliwości.

Zerwać umowę z Heather.

Nie. Nie wypada.

Druga możliwość: wyznać wszystko narzeczonej.

Też odpada. Nie wierzył, by Chloe chciała słuchać o dawnej sympatii, o przyjaznych uczuciach i tym podobnych.

Trzeba wziąć się w garść!

W samochodzie pozwolił psu wystawić nos za okno i wachać wiatr. Marnie co rusz spoglądał na niego, a chwilami sprawiał wrażenie, jakby się śmiał. Ot, choćby teraz...

Rick bezskutecznie usiłował zapomnieć o minionym wieczorze. Przed jego oczami przewijały się wciąż te same obrazy: dziwnie zgryźliwa Isabelle, mocno spięta Chloe, nerwowo chichoczący Freddy, posępnie milcząca Heather i on sam, bardzo niezadowolony z całej sytuacji.

Szczególnie ze zmiany menu. Czy Chloe zapomniała, że miał uczulenie na kraby i małże? Przecież niedawno przekonała się o tym w restauracji w Seattle.

Mimo to, gdy Freddy wspominał o tym, co jest w modzie na przyjęciach, jej oczy natychmiast rozblęły. Pewnie zapaliła się do tego pomysłu ze względu na swojego ojca. I to Ricka zaniepokoiło. Przyzwyczyił się do niemal absolutystycznych rządów pana Connorsa,

który w swym adwokackim królestwie miał prawo narzucać własną wolę, ale Rick nie chciał, by jego żona stawiała na pierwszym miejscu ojca.

Wjechał na parking przed swoim blokiem. Na szczęście zgodnie z przepisami wolno mu było trzymać w domu zwierzę ważące poniżej dwunastu kilogramów. Tylko z panem Charlesem mogą być problemy.

Rick lubił swoje mieszkanie, chociaż jeszcze nie urządził go tak, jak sobie wymarzył. Wychował się w niemiłosiernie zagraconym domu, gdzie jedynymi „dziełami sztuki” były kalendarze z jachtami zdobiące ściany po pięć, sześć lat. Przypadkowe meble, zwykłe chodniki na podłodze, żarówki bez kloszy...

Swój pierwszy prawdziwy dom Rick meblował powoli, bardzo starannie. Kupił perskie dywany, trochę podniszczone, ale nadal puszyste, skórzaną kanapę, fotele, stylowe lampy. Miał bogaty zbiór książek i reprodukcje słynnych obrazów. Na razie nie mógł pozwolić sobie na antyki, więc zadowalał się dobrymi kopiami przedmiotów miłych dla oka.

Jedyny wyjątek stanowił fortepian, prawdziwe dzieło sztuki, piękny w tonie i kształcie. Kupił go od poprzedniej lokatorki, która nie cierpiała instrumentu, ponieważ jej były mąż go lubił. Rick nie oszczędził pieniędzy na najlepszego stroiciela.

Nie miał absolutnego słuchu, nie był urodzonym artystą i dopiero od roku brał lekcje, ale codziennie ćwiczył i ambitnie próbował opanować dość trudny utwór. W jego skali wartości umiejętność gry na fortepianie była bardzo wysoko notowana. Przysiągł sobie, że zostanie pianistą amatorem albo umrze podczas nauki.

Obok instrumentu siedział pan Charles. Na jego widok terier groźnie warknął, ale arystokrata mrugnął ledwie dostrzegalnie i nie raczył się poruszyć.

– Chciałbym, żebyście się zaprzyjaźnili – powiedział Rick. – Marnie, u mnie obowiązuje zakaz szczekania. Zrozumiano? Pies oczywiście zaszczekał.

Czy dlatego Rick odmówił Isabelle za pierwszym razem? Z powodu kota?

Nie możliwe!

Czyżby udało mi się znowu znaleźć blisko Ricka tylko po to, żeby plany pokrzyżował mi kocur? Choć trzeba przyznać, nie byle jaki! Syjamski, z odrobiną brązu i z niebieskimi ślepiami, którymi stale za mną wodzi.

Pan Charles! Też pomyśl!

Będąc stworzeniem odpornym na ciosy, natychmiast przejąłem inicjatywę i zacząłem rozmowę z przeciwnikiem. Lecz ten kot, jak każdy inny, nie rozumiał, co się do niego mówi. Koty mają chyba własny dialekt rozumiany jedynie przez wybranych przedstawicieli rodzaju ludzkiego.

Nie szkodzi. Nie dopuszczę, żeby zarozumiałe kocisko pokrzyżowało mi plany.

A mój plan był prosty: pracować nad Rickiem od środka. Niech rozmyśla o Isabelle, wspomina dobre czasy, tęskni za nimi. Wiedziałem, że trzeba się śpieszyć. Biała dama bardzo mnie zaniepokoiła. Moim zdaniem jest fałszywa. Ładna, owszem, ale niewiele warta. Nie przypadłem jej do gustu. Udawała tylko.

Ona na pewno ma coś wspólnego z panem Charlesem.

Obejrzałem niebieskookiego od łba do ogona i postanowiłem traktować go z góry. Nie czas i miejsce na uprzejmości. Niech każdy z nas chodzi własnymi drogami.

Rick poszedł do łazienki, a ja ruszyłem na wyprawę rozpoznawczą. Dokładnie obwąchałem wszystkie kąty, z bliska obejrzałem wszystkie drzwi. W pewnym momencie odniosłem wrażenie, że mój cień się podwoił, więc zerknąłem za siebie. I co zobaczyłem? Syjamski szpieg szedł za mną krok w krok. Zgodnie z postanowieniem zupełnie go ignorowałem, nawet gdy wlaźł za mną do szafy w pokoju gościnnym.

W rogu szafy stało pudło, którego zapach wydawał mi się znajomy. Zacząłem drzeć tekturę, warcząc i nie zważając na miauczenie kota.

Karton nie oparł się moim zębom i pazurom. Zrobiłem w nim sporą dziurę.

I znalazłem prawdziwy skarb!

Rick w łóżku przygotowywał obronę. Na kołdrze rozłożył potrzebne dokumenty. Kot drzemał w nogach, z głową na opasłym tomie prawa rodzinnego. Gdy zaczął mruczeć, Rick zerknął na niego. Pochylił się, by sprawdzić, czy przed łóżkiem leży myszka do zabawy. Koło łóżka leżał zwinięty w kłębek terier.

Rick uśmiechnął się. Chyba podświadomie tęsknił za tym wesołym, psotnym stworzeniem. Cieszył się, że wziął psa do siebie. Najpierw odmówił Isabelle, bo zadzwoniła w czasie wizyty Chloe, a poza tym bał się, że pies i kot będą toczyć boje od rana do wieczora.

Pomylił się. Wyglądało na to, że odwieczni wrogowie zawarli rozejm.

Po dwóch godzinach intensywnej pracy poczuł się zmęczony i senny. Gasząc lampkę, zawadził o fotografię stojącą na nocnym stoliku. Podniósł zdjęcie i zorientował się, że coś jest nie w porządku.

Te same ciemne oczy i włosy, ale to jakaś inna kobieta. Na zdjęciu była Isabelle!

Fotografia wywołała falę wspomnień. Ciepły letni dzień, koszyk ze skromnym jedzeniem – tylko krakersy, ser, pieczone kurczę, grecka sałatka. Rzeka, trawa, drzewa. Isabelle siedzi nad wodą, brodę oparła na kolanach, zapatrzyła się w strumień...

Isabelle...

Odłożył zdjęcie. Skąd tu się wzięło? Gdzie jest fotografia Chloe?

Wyskoczył z łóżka i zaczął się rozglądać. Może zrzucił zdjęcie na podłogę? Nie. Widocznie wpadło do szuflady.

Przeszukał wszystkie szuflady i nic nie znalazł. Fotografia znikła jak kamfora.

Uważnie przyjrzał się psu.

– Co wiesz o tej sprawie? – zapytał.

Terier nawet nie otworzył oczu. To musiała być jego sprawka, nie ma innego wytłumaczenia. Gdzie znalazł Isabelle i gdzie upchnął Chloe?

– Marnie! – rzekł Rick takim tonem, jakim przemawiał w sądzie. – Co tu się dzieje?

Tym razem pies otworzył jedno oko, raz mrugnął, dwa razy ziewnął, ukazując białe zęby i różowe podniebienie, po czym ułożył łeb na łapach i zasnął.

– Oj, urwisie, nie ujdzie ci to na sucho. Porozmawiamy jutro – zapowiedział Rick, chowając zdjęcie Isabelle do szuflady.

A kot zeskoczył z łóżka, ułożył się koło Marniego i zamruczał zadowolony.

Rick miał wrażenie, że stało się coś tajemniczego, ale za bardzo chciało się mu spać. Od rana wydarzyło się sporo jak na jeden dzień unormowanego życia. Dwa zwierzaki i dwie kobiety to stanowczo za dużo dobrego.

Gdy zamknął oczy, pod powiekami ujrzał tacę pełną ostryg. Przed zaśnięciem uświadomił sobie, że na przyjęcie zaręczynowe wypada zaprosić ojca. Jak staruszek przyjmie wiadomość, że Isabelle nie zostanie jego synową?

Przez całą noc męczyły go koszmarne sny.

Dni były bardzo pracowite. Isabelle dzielnie pomagała przyjaciółce. Obsłużyły uroczysty lunch na uniwersytecie, urodziny osiemdziesięcioletniej jubilatki i przyjęcie pożegnalne. Poza tym upiekły sto ptysi dla pewnej restauracji.

Ciąża Heather weszła w nową fazę i kuchenne zapachy powodowały, że przyszła mama chwilami zieleniała. Isabelle współczuła przyjaciółce i dlatego nie pytała, gdzie podział się jej „strusi żołądek”.

Marzyła o powrocie do domu. Wprawdzie urodziła się i wychowała w Portlandzie, dopiero po studiach przeniosła się do Seaportu, ale wyłącznie tam czuła się u siebie.

Lecz jak zostawić przyjaciółkę, która czuła się coraz gorzej? Isabelle wzięła na siebie dodatkowe obowiązki, z których najmniej przyjemne było załatwianie spraw związanych z przyjęciem zaręczynowym. Miała wielką ochotę skreślić wymyślne frykasy i zamówić hot dogi.

Bardzo tęskniła za psem. Życie bez Marniego było smutniejsze, choć bezsprzecznie łatwiejsze. Przez tych kilka lat zżyła się z psotnikiem, a poza tym przebywanie z miłą sercu istotą nadawało życiu sens.

Pod koniec tygodnia zdarzyły się trzy ciekawe rzeczy.

Pierwszą było przypadkowe spotkanie w pralni znajdującej się w suterenie. Isabelle zaniósła kuchenne ręczniki, fartuchy i obrusy, a Chloe przyszła z pełnym koszem bielizny. Isabelle była zaskoczona. Sądziła, że wykonanie takich przyziemnych robót panna Connors zleca „ludziom pracy”.

Chloe, która przyszła jako druga, stanęła na progu jak wryta. Najchętniej odwróciłaby się i wyszła, ale powstrzymała ją duma i ciekawość. Zachowywała się tak, jakby była sama.

– Dzień dobry – przywitała się Isabelle. Chloe zrobiła zdziwioną minę.

– A dzień dobry. Nie zauważyłam... Irenę czy Iola?

– Ani jedna, ani druga. Jestem Isabelle Winters. Spotkałyśmy się w niedzielę.

– Rzeczywiście. Kelnerka Heather McGee.

Isabelle zatrzęsała się ze złości, ale w porę przypomniała sobie, że arogantka jest klientką jej przyjaciółki. Trzeba pamiętać o interesach. Również o własnych, bo i jej przypadnie część tego, co Heather zarobi na przygotowaniu ekstrawaganckich zaręczyn. Snobizm narzeczonej Ricka przyczyni się do wcześniejszego powrotu do Seaportu.

– Pani jest też właścicielką łakomego psa – dodała Chloe.

– Oraz dobrą znajomą pani narzeczonego.

Isabelle zastanawiała się, co Rick widzi w tej kobiecie. Na pierwszy rzut oka wyglądały podobnie, z tym że Chloe była lepiej ubrana, nawet do pralni przysłała w eleganckim kostiumie. Obie miały ciemne oczy i włosy, podobny owal twarzy i mniej więcej takie same sylwetki.

Zewnętrznie były podobne, ale w środku? Isabelle podejrzewała, że diametralnie się różnią. Niektóre kobiety początkowo są przymilne i zgodne – przynajmniej gdy nie czują się zagrożone – ale z czasem robią się antypatyczne. Chloe już była niesympatyczna. Rick pewnie łudził się, że narzeczona po ślubie zmieni się na korzyść. Czy naprawdę nie wiedział, że będzie myślała wyłącznie o sobie, a z wiekiem stanie się bardziej złośliwa? Ten typ tak ma.

Isabelle zawstydziała się. Krytycznie ocenia osobę, której w ogóle nie zna. Rick na pewno ma rację, że spotkanie dawnej ukochanej narzeczonego musi być bardzo nieprzyjemne. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia.

- Ma pani śliczny pierścionek – rzekła pojednawczo. Chloe spojrzała na serdeczny palec.
- Kiedy Rick zrobi karierę, kupi mi coś bardziej... konkretnego.

Takie lekceważenie prezentu świadczyło o wyrachowaniu. Isabelle wolała powstrzymać się od komentarza, by nie wypadł kąśliwie, i dlatego zapytała:

- Jest pani zadowolona, że zdecydowała się na „morskie szaleństwo”?

Chloe zatrzasnęła pralkę, podparła się pod boki i pogardliwie spojrzała na rywalkę.

– Od razu przejrzałam pani grę – wycedziła przez zaciśnięte zęby. – Dlatego postawmy sprawę jasno. Nie odpowiem na żadne pytania, bo pani opinia mnie nie obchodzi. Gdyby Rick nie był idiotycznie lojalny wobec swojej znajomej, natychmiast wycofałabym zamówienie. Niech pani nie umizguje się do mnie, żeby go odzyskać. To na nic.

Isabelle oniemiała na chwilę, po czym ogarnął ją gniew nie do opanowania.

– Ja też cenię szczerść, więc zaraz coś wyjaśnię. Jestem uprzejma tylko ze względu na przyjaciółkę... Rick interesuje mnie o tyle, że podobnie jak Heather należy do grona moich starych znajomych. Nie ma powodu, żeby pani czuła się przeze mnie zagrożona.

- Ja miałabym czuć się zagrożona przez byle kelnerkę? Isabelle drżała, ręce jej się trzęsły.

– Grunt to wygórowane mniemanie o sobie! – syknęła. Chloe wsypała proszek, włączyła pralkę i znacząco milcząc, wyszła.

Isabelle dopiero w domu zorientowała się, że przyniosła wilgotne rzeczy. Musiała je dosuszyć i wyprasować. Pocieszało ją jedno – prawidłowo oceniła Chloe i chyba dobrze przewidziała, jaka będzie w przyszłości.

Ciekawe, co Rick sądzi o narzeczonej.

Druga osobliwa rzecz wydarzyła się dzień później. Isabelle zbliżała się do domu, gdy zauważyła wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę, który akurat wyszedł z budynku. Był bardzo podobny do męża Heather.

- John! – zawołała. Mężczyzna nie odwrócił się.

Po powrocie do domu zapytała przyjaciółkę, czy mąż ją odwiedził. Heather wyjęła z piekarnika ostatni z sześciu cytrynowych placków, wyprostowała się i spojrzała mocno wystraszona.

– Nie. Jesteś pewna, że go widziałaś?

– Na sto procent nie. Ale włosy, sylwetka... Zdawało mi się, że to on.

– Ciekawe. – Heather położyła ręce na brzuchu. – Dlaczego nie wstąpił, żeby się rozmówić? A jeśli to nie on?

Isabelle żałowała, że nie ugryzła się w język.

Przygnębiona Heather zostawiła jej lukrowanie placków i zamknęła się w swoim pokoju.

Trzecia osobliwość miała miejsce w piątek. Rick zadzwonił z prośbą, żeby Isabelle odwiedziła go jeszcze tego dnia. Twierdził, że jest potrzebna swojemu pupilkowi. Na pytania, co się stało, odpowiedział wymijająco. Isabelle chciała zobaczyć psa, ale jeszcze bardziej pragnęła uniknąć spotkania z Chloe, dlatego otwarcie zapytała Ricka, czy będzie sam. Zapewnił ją, że tak.

– Wobec tego wpadnę – obiecała. – Jeśli jesteś pewien...

– Czego? – przerwał poirytowany. – Że chcę, żebyś przyszła czy że Chloe nie będzie?

– Jednego i drugiego.

– Kobieto, zmiłuj się! Wpadnij na parę minut, żeby... uspokoić psa. Marnie robi... dziwne rzeczy... Podejrzenie się zachowuje. Czekam.

Po tych słowach rozłączył się, co do reszty wyprowadziło Isabelle z równowagi. Była zdecydowana powiedzieć mu, żeby sam sobie radził, ale nie chciała opuścić Marniego w potrzebie. Jednak przez parę godzin wszystko się w niej gotowało.

Do wieczora wyzłościła się i górę wzięła ciekawość.

Rick mieszkał w gorszej dzielnicy niż Heather. Kamienica była nieduża, do mieszkania wchodziło się po zewnętrznych schodach. Przez moment Isabelle uległa złudzeniu, że idzie do pana Manninga, ale gdy weszła na piętro, podobieństwo znikło.

Na białej werandzie zobaczyła olbrzymią donicę z cyniami i petuniami. Po prawej stronie stał podniszczony stolik, a obok ławka; idealne miejsce, by rano wypić kawę, a wieczorem posiedzieć z książką. Niebieskie drzwi przypominały dom pani Polk, przy którym Rick zatrzymał się podczas niedawnego spaceru.

Isabelle usłyszała muzykę. Oparła się o białą balustradę i zasluchana patrzyła na panoramę miasta. Piękna sonata Beethovena... Jakiś meloman słucha radia...

Fałszywa nuta i nagle urwana melodia oznaczały, że to nie radio, lecz muzyka na żywo. Pianista podjął grę, a Isabelle zorientowała się, że muzyka płynie przez otwarte okno. A więc dochodziła z mieszkania Ricka.

Znowu pomyłka i znowu przerwa. Isabelle skorzystała z ciszy, by zastukać i w tym samym momencie usłyszała perlisty śmiech. Za późno, by się wycofać. Pomyślała, że udusi kłamcę gołymi rękami, jeśli drzwi otworzy Chloe.

ROZDZIAŁ ÓSMY

– Otwarte! Proszę wejść!

Isabelle zebrała się w sobie, otworzyła niebieskie drzwi i jej wzrok padł na filigranową kobietę w jedwabnej sukni koloru morskiej wody. Przy fortepianie siedział Rick, a na parapecie otwartego okna syjamski kot. Marnie podbiegł, radośnie ujadając, więc Isabelle przykucnęła, by go pogłaskać.

– Przepraszam, że państwu przeszkadzam.

– Wcale nie przeszkadzasz – zapewnił Rick.

– Już kończymy – dodała kobieta.

Miała około trzydziestu lat, bujne kasztanowate włosy, jasną karnację i wielkie zielone oczy.

– Wejdz, proszę – rzekł Rick.

– Jak zwykle przekroczyliśmy wyznaczony czas. Mój uczeń robi duże postępy. Słyszała pani jego grę?

– Tak. Prawie mistrzowska. Rick był wyraźnie zażenowany.

– Panie mnie zawstydzają. Eleno, pozwól, że przedstawię ci moją znajomą, również nauczycielkę.

– Pani też uczy muzyki?

– Nie. Uczę dzieci w zerówce.

– Lubi pani swoją pracę?

– Uwielbiam.

Elena wymownie popatrzyła jej w oczy i uśmiechnęła się.

– Obie mamy szczęście, robimy to, co lubimy.

Isabelle pomyślała, że jeżeli Rick koniecznie chce się żenić, powinien wybrać tę uroczą kobietę, a nie okropną Chloe.

– Muszę się pożegnać – dodała Elena. – Za dziesięć minut mam następną lekcję. Do widzenia, uczniu. Proszę codziennie ćwiczyć.

– Miło mi, że się poznałyśmy – szczerze powiedziała Isabelle.

Rick odprowadził nauczycielkę, a Isabelle podeszła do okna i przyjrzała się lekko zezującymu kotu. Miała ochotę go pogłaskać, ale była uczulona na kocią sierść.

Kot zeskoczył z parapetu i przytulił się do Marniego.

– Co o tym sądzisz?

Isabelle odwróciła się i popatrzyła na rozbawionego Ricka.

– Jestem zaskoczona. Marnie nie przepada za kotami.

– Ale pana Charlesa polubił.

– A więc to jest „właściciel mieszkania”.

Rick uśmiechnął się. Czy prawnikom wolno tak się uśmiechać? Chyba w czasie rozprawy taki uśmiech jest zakazany.

Ale przy kreśleniu projektów i budowaniu łodzi czarujące uśmiechy nikomu by nie

przeszkadzały. Konstruktor lub szutnik może śmiać się do woli. Wielka szkoda, że Rick zmienił kierunek studiów.

– Mogę wiedzieć, o czym myślisz? – zapytał.

– Masz bardzo ładne mieszkanie – odparła wymijająco. – Nie wiedziałam, że grasz na fortepianie.

– Trudno mówić o graniu, ale uczę się, ćwiczę. . – Według mnie całkiem dobrze ci szło.

– Chciałem cię o coś zapytać. – Rick zmienił temat. – Dlaczego nie było męża Heather? – zapytał. – Chętnie bym z nim pogadał.

– John... jest... był... w odwiedzinach... u swojego brata.

– Mam nadzieję, że Heather stanie na wysokości zadania. – Rick zasępił się. – Moim zdaniem bardzo się zirytowała z powodu zmiany jadłospisu. Chloe twierdzi, że ludzie świadczący usługi bez problemu dostosowują się do wymagań klientów. Może ma rację... ale pod koniec naszej wizyty Heather była jakby wytrącona z równowagi.

Isabelle powstrzymała się od krytyki pod adresem Chloe.

– To z powodu ciąży – powiedziała. – Hormony trochę szaleją.

– Heather spodziewa się dziecka?

– Tak.

– Dlaczego nic nie powiedziała?

– Bo to sekret.

– To się da utrzymać w tajemnicy?

– Nie wiem. – Teraz ona zmieniła temat: – Co jest Marnieniu? Wygląda bardzo dobrze.

Rick podniósł kota, który łąsił się mu do nóg.

– Właściwie nic mu nie dolega...

– Podobno byłem mu bardzo potrzebna. Po co mnie ściągnąłeś, jeśli z psem wszystko w porządku?

– Wcale nie mówię, że w porządku. Chodź, pokażę ci, co miałem na myśli.

Postawił kota na podłodze, przeszedł do jadalni i stanął przed żółtym kredensem z oszkloną nadstawką, którego szuflady ozdabiał ręcznie malowany wzór w bławatki i porcelanowe uchwyty. Staroświecki mebel wzbudził nieklamany zachwyt Isabelle.

– Ale cacko!

– Naprawdę ci się podoba? – Rick błysnął zębami w szerokim uśmiechu. – Kupiłem w Seaporcie, w sklepie niedaleko plaży.

– Tam, gdzie moje biurko?

– Tak.

Długo patrzyli sobie w oczy.

Pan Charles płynnym łukiem wskoczył na kredens, niemal przewracając zdjęcia. Z wysokości uważnie spoglądał na ludzi i psa.

– Popatrz tutaj – rzekł Rick.

Isabelle spojrzała na zdjęcie Chloe w złotej ramce. Obok stało drugie, większe, ale w taniej, drewnianej oprawie. To drugie wydawało się dziwnie znajome. Po paru sekundach uświadomiła sobie, że to jej fotografia.

Co jej zdjęcie tu robi? Speszona nie wiedziała, co powiedzieć. Milczała przez dłuższą chwilę.

– Zrobione nad Columbia River – szepnęła w końcu.

– Nie o to chodzi. Sęk w tym, że nie wiem, skąd Marnie je wyciągnął. I chociaż je wciąż chowam, on ciągle je wyciąga.

– Nie rozumiem.

– Przecież mówię wyraźnie. Pierwszego wieczoru znalazł twoją fotografię, usunął ze stolika zdjęcie Chloe, postawił twoje, a tamto gdzieś ukrył.

– On coś takiego zrobił? Jesteś pewien? Wiem, że jest bardzo inteligentny, ale...

– A jednak. Schował je... w koszu na śmieci. Isabelle zdusiła śmiech.

– Może samo tam wpadło.

– Ze stolika przy łóżku pofrunęło do kosza przy drzwiach?

– Ale...

– Twój mądrała stale coś takiego robi. Kiedy mnie nie ma, wynajduje twoje zdjęcie i ustawia zamiast fotografii Chloe. Ja przywracam porządek, a on znowu swoje. W końcu wyniosłem oba zdjęcia z sypialni. Miałem nadzieję, że zmylę łobuza, ale gdzie tam. Wczoraj dłużej pracowałem, więc Chloe przyszła nakarmić zwierzaki. Oczywiście miała pretensję, że twoje zdjęcie stoi, a jej znikło.

Isabelle pokręciła głową i popatrzyła na rzekomego winowajcę. Czy możliwe, żeby pies dokonywał takich sztuczek? Podejrzliwie zerknęła na Ricka. Dlaczego wymyślił tę mało prawdopodobną historię?

– Nie patrz tak na mnie – syknął. – Jeszcze nie zwariowałem.

– Wyrzuć moje zdjęcie, a fotografię Chloe powieś na ścianie, żeby Marnie nie mógł dosięgnąć. To najlepsze wyjście.

– Jeszcze coś ci pokażę. Chodź do kuchni. Widzisz? Położyłem pod stołem koc, żeby zniechęcić Marniego do korzystania z sofy podczas mojej nieobecności.

– I co?

– Chciałbym wiedzieć, czy poskutkowało, ale lis przechera zawsze wita mnie przy drzwiach. Przyjrzyj się.

Isabelle nachyliła się i w fałdach białego koca zobaczyła pogryzioną różową myszkę ze sznurkowym ogonkiem oraz małego delfina.

– Dałeś mu zabawki?

– Mysz należy do kota, ale ciągle leży w psiej misce z wodą. – Wyciągnął delfina. – Obejrzyj z bliska.

Na jednej płetwie było wyhaftowane błękitne serce.

– Dostałem od ciebie cztery lata temu – przypomniał Rick.

– Kupiłaś mi w Newporcie. Marnie sam go skądś wygrzebał. Natykam się na tę maskotkę w łóżku, w kieszeni płaszcza, w różnych miejscach. Gdzieś musi być pudło z zabawkami. Nie mam czasu poszukać, ale ten spryciarz prędko je wywęszył.

Isabelle podała mu maskotkę, a on dał terierowi. Marnie wziął zabawkę do pyska i wyglądał tak, jakby się uśmiechał.

– Widocznie delfina czuć starzyzną albo pleśnią. Marnie lubi rzeczy o specyficznym zapachu. To stuprocentowy pies.

– Teraz pokażę ci eksponat numer trzy.

Gdy zatrzymał się przed automatyczną sekretarką, kot wskoczył na stół i dostojnie usiadł między sekretarką a wazonem z kwiatami. Isabelle otworzyła usta, by skomentować naganne kocie zwyczaje, ale przypomniała sobie, że Marnie też chodzi po kuchennej szafce, bo lubi pić wodę prosto z kranu.

– Od pięciu dni nie było ani słowa od Chloe.

Isabelle na szczęście powstrzymała się od głośnego „wyrażenia myśli, która jej przeniknęła przez głowę. „Nic nie straciłeś. Wiem, bo rozmawiałam z nią w pralni. „Zamiast tego powiedziała:

– Obwiniasz mojego psa o to, że twoja narzeczona nie dzwoni?

– Bo ona dzwoni... i to często, ale nagranie znika.

– Może pan Charles...

– Kot nigdy nie przejawiał zainteresowania telefonem i sekretarką. Poza tym wszystkie inne nagrania są nienaruszone, tylko te znikają. Dziwne rzeczy dzieją się od dnia, kiedy przywiozłem Marniego.

Isabelle uśmiechnęła się mimo woli.

– Nie widzę w tym nic zabawnego – burknął urażony Rick.

Przykre, że nie bawi go coś, co jest śmieszne. Czyżby stracił poczucie humoru?

– Naprawdę nie śmieszy cię ta sytuacja?

– Ani trochę.

– I uważasz, że Marnie jest zdolny do takich wyczynów? To zwyczajny zbieg okoliczności...

– Chloe widzi sprawę inaczej.

Isabelle rozżościła się. Zmrużyła oczy i zacisnęła pięści.

– Aha, wyszło sztydło z worka – syknęła. – Chloe jest niezadowolona, tak? Posądza mnie, że przysłałam tu psa z tajną misją doprowadzenia do zerwania zaręczyn. Jeśli widzisz w jej rozumowaniu choć odrobinę sensu, idź do psychiatry.

Odwróciła się, ale Rick chwycił ją za rękę i zmusił, by na niego spojrzała.

– Marnie to psia Mata Hari? – zapytał.

No, na szczęście Rick nie stracił całkiem poczucia humoru.

– Owszem. To pies do specjalnych poruczeń. Rick uśmiechnął się.

– Przepraszam, nie wiem, co mi strzeliło do głowy.

Ale Isabelle wiedziała, że u źródła jego irracjonalnego zachowania leży zazdrość narzeczonej. Wykazując chwalebne opanowanie, przełknęła komentarz.

– Biedna Heather już i tak goni w piętę, więc nie mogę zabrać psa.

– Wiem. Chloe musi pogodzić się z obecnym stanem rzeczy. Niezadowolenie narzeczonej z pewnością bardzo utrudnia Rickowi życie. Isabelle szczerze mu współczuła.

– Poszukajmy lepiej tego pudła – zaproponowała.

– Dobrze, ale najpierw coś zjedzmy. Wczoraj upiekłem kurczaka.

Isabelle zgodziła się bez zastrzeżeń. Usiedli na werandzie ozdobionej petuniami i cyniami, a pies i kot oczywiście dotrzymywały im towarzystwa.

Po jedzeniu rozpoczęli poszukiwania. Minęło sporo czasu, nim Isabelle znalazła pudło w szafie, do której Rick rzadko zaglądał. Teraz przypomniał sobie, że ostatnio drzwi szafy stale były otwarte.

Przytaszczył podarty karton do pokoju, usiedli na podłodze i zabrali się do przeglądania zawartości. Isabelle była odprężona, uśmiechała się i charakterystycznym gestem odgarniała opadające włosy. Puckowi zawsze podobała się jej całkowita nieświadomość własnej urody. Gdyby miała mniej wybuchowy temperament, byłaby... hm... byłaby całkiem kimś innym.

Zaczerwienił się, gdy wyszło na jaw, że przechowuje mnóstwo drobiazgów, które kiedyś dostał od niej. W pudle była między innymi koszulka z napisem „Portland State”, stary kalendarzyk w skórzanej okładce, kilka kubków, książki o budowie jachtów, listy, widokówki, zdjęcia.

Rick całkiem zapomniał, że zmagazynował to wszystko. Widocznie zaraz po rozstaniu schował pamiątki do jednego pudła. Dlaczego? Nie wiedział. Karton przeprowadzał się z nim kilka razy, aż wylądował w szafie i został zapomniany.

Isabelle wyciągnęła kubek ze stylizowanymi żaglówkami i przyklejoną ceną.

– O, nie używałaś go! Spodobał mi się, bo przypominał mi piękne łodzie twojego ojca.

Rick pamiętał, kiedy dostał ten kubek.

– Dałaś mi go dzień przedtem... zanim przyznałem się, że idę na prawo. Byłaś bardzo zgnębiona. Pamiętasz?

– Oczywiście.

– Dlatego nie miałem ochoty go używać.

– Wkrótce potem odszedłeś.

– Nieprawda! – zaprzeczył stanowczo. – To ty odeszłaś. Isabelle patrzyła na niego oczami czarnymi jak oczy Chloe, a jednak innymi.

– Ja? To ty mnie rzuciłeś – upierała się.

Marnie zaskomlił i wpatrywał się w nich z niepokojem. Rick nie zamierzał ustąpić.

– Ledwie powiedziałem ci o moich nowych planach, zaczęłaś odsuwać się ode mnie. Wiedziałem, że będziesz rozczarowana zmianą kierunku studiów, mną samym, ale... musiałem powiedzieć ci prawdę.

Oczy Isabelle podejrzenie błyszczały.

– Często rozmawialiśmy o przyszłości – szepnęła. – Ja chciałam uczyć dzieci, ty miałeś pracować razem z ojcem...

– Ale marzyłem o czymś innym.

– Przecież mówiłeś...

Nie pozwolił jej dokończyć.

– Byłem młody. Ojciec wywierał na mnie presję... miał swoje plany, racje...

– A ty swoje? To chcesz powiedzieć?

– Marzenia zmieniają się, ale miłość powinna przetrwać wszystkie trudności.

Isabelle wstała gwałtownie.

– Byłam nieszczęśliwa, bo zrobiłeś to w tajemnicy przede mną. Nie wiedziałam, że już się zapisałeś na prawo. Ukrywałeś swoje zamiary, ale uważałeś, że będę zachwycona i powiem: „Kochanie, masz rację, rób, co chcesz”.

– Rzeczywiście, tego się spodziewałem.

– To nieuczciwe.

– Możliwe. Ale tak mówią ludzie, którzy naprawdę kochają.

– Człowieku, gdzie ty żyjesz? W baśniowej krainie? Dałeś się nabrać Chloe?

– Zostaw ją w spokoju. Ona we wszystkim mnie popiera.

– Oczywiście. Dobrze wie, jak dostać to, czego chce. Na wszystko się zgodzi, byle osiągnąć cel. Ale chyba już ją poznałeś i wiesz o tym. Założę się, że ona nie ma ani kropli szlachetnej krwi.

Rick patrzył zdumiony.

Kot wystraszył się, ale terier stanął między nimi, jakby rozumiał, że się kłócą i chciał ich pogodzić.

– Włóż wszystko do pudła i zanieś do mojego auta – poleciła Isabelle. – Stamtąd Marnie nic nie wyciągnie. Twoja narzeczona przestanie się gniewać. Żegnam.

Trzasnęły drzwi. Rick oprzytomniał i zaczął wrzucać pamiątki do kartonu. Pies obserwował go, żałośnie skomlał, a kot uciekł na łóżko.

Rick przyniósł z pokoju zdjęcie Isabelle, a z kuchni delfina i też wrzucił do pudła, po czym zaniósł je do samochodu i głośno zatrzasnął bagażnik.

Isabelle odjechała bez pożegnania.

Marnie wył żałośnie.

Albo ja zawiniłem, albo sytuacja tak czy owak się pogarszała.

Przysięgam, nie chciałem doprowadzić do kłótni. Chciałem, żeby przypomnieli sobie dawne czasy i rozgorączkowali się, ale nie żeby zagotowali się ze złości.

Czyżbym pomylił się w ocenie ich uczuć?

Czy moje sny o rodzinie pozostaną w sferze marzeń?

Nie. Wygaduję głupstwa. Nie jestem sam, nadal mogę liczyć na pomoc Charliego. Jego łapy były przydatne, gdy nie radziłem sobie z wyciąganiem ciasno poutykanych rzeczy. Muszę go pochwalić, bo zawsze w odpowiednim momencie odwracał uwagę swojego pana. Ale to tylko kot. Psy mają określone zasady, a koty nie. Chanie spał na moim kocu, gapił się na mnie, gdy jadłem, chodził za mną krok w krok. Podarował mi nawet swoją zżartą przez mole myszkę, którą uparcie wkładał do mojej miski z wodą.

Odsunąłem go na boczny tor, gdy skupiłem się na najważniejszej kwestii, czyli na Isabelle i Ricku.

Założę się, o co chcecie, że moja pani płakała przez całą drogę do domu. Z tego powodu fatalnie się czułem. Jestem za nią odpowiedzialny i wiem, że mnie potrzebuje, a jednak musiała odjechać sama.

Rick chodził po mieszkaniu strasznie zły. Trzaskał drzwiami, mruzczał coś do siebie, nawet

zbeształ mnie i kota, ale wreszcie wziął się do pracy.

Niebieskooki i ja mamy jedną wspólną cechę: wyrozumiałość. Żaden z nas się nie obraził. Ja chyba rozumiałem, dlaczego Rick tak się zachowuje i współczułem mu, ale głowę dam, że jego kot pozostał obojętny.

Może to odpowiedni moment, by przyznać się do porażki i wrócić do Seaportu? Ale jak to zrobić?

Zostałem u Ricka, a Isabelle zabrała wszystko, co od niej dostał, więc utknąłem w martwym punkcie.

Akurat w momencie mojej wielkiej rozterki napatoczył się pan Charles i... doznałem olśnienia. Przyszło mi do głowy, że jeśli będę dokuczał kotu, Rick mnie wyrzuci. Mogłem szczeleć, kłapać zębami, chwycić za ogon, gryźć... a kiedy znajdę się z powrotem w mieszkaniu Heather, wystarczy parę razy wśliznąć się do kuchni i Isabelle migiem zostanie odesłana do domu.

Niestety, pomysł miał poważne wady, a mnie brakowało energii.

Pewnie pamiętacie, że foksteriery szorstkowłose nigdy się nie zniechęcają. Ze wstydem przyznam się, że jednak ogarnęło mnie zniechęcenie. Popchnąłem kota na skraj koca, zwinąłem się w kłębek i zamknąłem oczy. Nie miałem pojęcia, co robić. Trudno, przyznaję się.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Rezydencja państwa Connorsów w West Hills znajdowała się na wzgórzu. Prowadząca do domu kręta droga dawała złudzenie, że jedzie się na wieś, lecz już na miejscu widok z dziedzińców był zdecydowanie miejski. Cały tarasowate opadający teren był pięknie utrzymany. Na pewno kilku ogrodników zarabiał tu na życie, kosząc, przycinając, nawożąc i podlewając. Biały budynek z kolumnami miał dwa piętra. Naokoło łagodnie szumiały wyniosłe drzewa.

Isabelle rozglądała się ciekawie. Wyobraziła sobie imponujące wejście do tego niemal pałacu, lecz nie było jej dane sprawdzić, czy ma dobrą wyobraźnię. Osoby przyjeżdżające w charakterze obsługi wchodziły bocznymi drzwiami.

Cała ekipa spotkała się w kuchni, gdzie spędziła kilka godzin, zajęta ostatnimi przygotowaniami. Heather brakowało energii. Ostatnio źle spała i mało jadła. Zmiana menu okazała się błogosławieństwem. Było niewiele gotowania, a tym samym mniej zapachów, od których ciężarnej kucharce robiło się niedobrze.

Isabelle starała się odciążyć przyjaciółkę, ale zdawała sobie sprawę, że minimalnie ułatwia jej życie. Dlatego ją przekonywała, że powinna zadzwonić do męża i nakłonić go do powrotu.

Główny stół rozstawiono w solarium; drzewa, kwiaty oraz niebo widoczne za szklanymi ścianami i sufitem optycznie powiększały i tak duże pomieszczenie. Na środku okrągłego stołu umieszczono lodową rzeźbę w kształcie delfina, a naokoło ustawiono salaterki i półmiski z surowymi i gotowanymi specjałami. Było ich tak dużo, że zabrakło miejsca dla łososiowych ptysi, które Chloe zażyczyła sobie w ostatniej chwili. Heather zdecydowała, że Isabelle będzie roznosiła je na srebrnej tacy.

Nerwowo chichoczący Freddy pilnował dekorowania sali, co w efekcie zepsuło jej naturalne piękno. Wszędzie, gdzie to było możliwe, kładziono różowy materiał, na nim biały obrus, po czym ustawiano kosze białych lili i różowych różyczek, setki białych świeczek w szklanych świecznikach. Pod sufitem podwieszono olbrzymie złociste koła. Zdaniem Isabelle wyglądały jak pojazdy UFO, ale ostrym tonem wyjaśniono jej, że przedstawiają obrączki ślubne.

Rzecz gustu i wyobraźni!

Odtąd nie wyrażała swojej opinii na temat wystroju sali. Marzyła, by jak najprędzej wrócić do domu, odebrać Marniego i pojechać do Seaportu. Wolałaby uniknąć spotkania z narzeczonymi. Przestało ją interesować, czy zaproszono pana Manninga i czy zgodził się przyjechać. Zamierzała wykonać swoje zadanie cicho, sprawnie, bez rzucania się w oczy. Niby pragnęła być niewidoczna, a jednocześnie irytowało ją, że goście jej nie zauważają.

Pan Connors, przystojny mężczyzna po pięćdziesiątce, miał czarne oczy i siwiejące gęste włosy. Jego żona wyglądała na dwadzieścia pięć lat.

Narzeczona wystąpiła w prostej białoróżowej sukni, która na pewno kosztowała majątek. Wyglądała ślicznie i chyba dlatego Isabelle poczuła się jeszcze bardziej nieswojo w

służbowym uniformie. Najchętniej zerwałaby muszkę i rozpuściła włosy.

Sama nie wiedziała, czego chce, a do reszty straciła humor, kiedy zobaczyła, jak Rick całuje Chloe i wznosi toast.

Z ptysiami na srebrnej tacy krążyła wśród gości, więc docierały do niej fragmenty rozmów. Czuła się bardzo dziwnie; ludzie zachowywali się tak, jakby była niewidzialna i głucha. W ogóle nie krepowali się jej obecnością.

Dwie otyle matrony, biorąc po dwa ptysie, ani na moment nie przerwały plotkowania.

– Macocha jest młodsza od pasierbicy. Toż to wstyd! – orzekła jakaś kobieta.

Druga gorliwie przytaknęła.

– Święta racja. On ma już trzecią żonę, a co jedna to młodsza. Czwarta chyba będzie w pieluszkach.

– Matka Chloe wcale nie została zaproszona.

– I tak by nie przyjechała, bo poleciała do Europy z czwartym mężem. Przystojny ten narzeczony, co? Podobno ma przed sobą świetną przyszłość.

Większość kobiet była zachwycona Puckiem.

Isabelle podeszła do dwóch starszych panów tak pogrążonych w rozmowie, że nie zwrócili na nią uwagi. Nie chcąc przeszkadzać, czekała, aż zabraknie im tchu. Rozmawiali o jakimś znajomym.

– Tylko on nie odmówił Chesterfieldowi w sprawie Holgate. Inni bali się konsekwencji w razie przegranej.

Holgate? – powtórzyła Isabelle w duchu. To nazwisko coś jej mówiło.

Drugi mężczyzna dodał, że sprawa się przeciąga, odwrócił się i zauważył kelnerkę.

– Proszę się poczęstować – rzekła uprzejmie. Panowie wzięli po jednym ptysiu.

– Moim zdaniem Connors ma nosa i dobrze zrobił, przyjmując Manninga.

– Ale słono przepłacił. Mojego siostrzeńca mógłby mieć za połowę ceny. Takie jest moje zdanie.

Isabelle liczyła na dalsze rewelacje, ale otoczyła ją grupa rozgadanych starszych pań, które zagłuszyły wszystko dookoła i błyskawicznie opróżniły półmisek.

Po pewnym czasie zaintrygowało ją, że nie widzi pana Manninga. Jego nieobecność świadczyła o napiętych stosunkach między ojcem i synem. A nawet gorzej. Trzeba przyprzeć Pucka do muru i zapytać o ojca, choć tak naprawdę chciała poruszyć inny temat. Niepotrzebnie rozstali się w gniewie. Nie mogą być razem, ale nie muszą być wrogami.

Poszła do kuchni po kolejną porcję ptysiów. Bardzo blada Heather siedziała przy otwartych drzwiach.

– Jak się czujesz?

– Nieszczególnie. Na jedzenie już nie mogę patrzeć, zapachy mnie dobijają. Co ja teraz zrobię?

– Posiedź sobie na świeżym powietrzu. Zaraz przyniosę ci szklanek wody. A po powrocie zadzwonisz do Johna i zaprosisz go do domu. Musicie poważnie się rozmówić.

– Ale...

– Żadne ale. Jeśli chcesz, zostanę z wami i będę trzymała cię za rękę. Mąż jest ci

potrzebny. Czas, żebyś przyznała się do tego.

Przyniosła wodę, wzięła pełną tacę i lawirując wśród gości, wzrokiem szukała Ricka. Wreszcie wypatrzyła go na dziedzińcu, gdzie rozmawiał z jakimś mężczyzną. Zatoczyła półkole i rozpoznała tego mężczyznę.

– John? – wyrwało się jej mimo woli.

– Isabelle!

Rick spojrział na nią spode łba. Zasłużyła na nieprzyjazny wzrok, więc uśmiechnęła się, ale próba pojednania spełzła na niczym.

– Co tu robisz? – zapytała Johna.

– Jak widzisz. Wyłudziłem zaproszenie od pana Connorsa. Znam go z czasów, gdy zlecał mi księgowość... Porównywaliśmy z Rickiem zapiski.

Nie wypadało pytać, jakie i o kim.

– Nie bardzo rozumiem, czemu „wyłudziłeś” zaproszenie.

– Zależało mi, żeby tu być.

– A zatem wiesz, że Heather organizuje przyjęcie?

– Oczywiście. Przecież uczestniczyłem we wstępnych rozmowach. Miało być inaczej... Wiesz, niedawno zauważyłem cię koło naszego bloku.

– Ja też cię widziałam. Nawet zawołałam, ale udałeś głuchego.

– Bo nie byłem w nastroju, żeby z tobą rozmawiać. Przyjechałem do Heather... chciałem ją przeprosić... ale w ostatniej chwili zrezygnowałem. – Pokręcił głową. – Przekłeta męska duma.

Isabelle niepewnie zerknęła na Ricka. Wzruszyła ramionami, licząc, że to wystarczy.

– Nie zrozum mnie źle – mówił John. – Jestem ci bardzo wdzięczny, ale chcę wrócić do domu. Mam nadzieję, że żona mnie wpuści.

– Podobno za mało ci było „przestrzeni” – powiedziała cicho. John poczerwieniał.

– Mówiła ci?

– Coś tam wspomniała.

– Zachowywała się dziwnie, to się śmiała, to płakała, raz chciała tego, raz tamtego... Nigdy nie interesowała się moją pracą i nagle postanowiła jechać ze mną w podróż służbową. A to oznaczałoby całkowitą dezorganizację, i to w ostatniej chwili, zmiany planów nie tylko moich, ale i dwóch współpracowników. Potrzebowałem kilku dni, żeby spokojnie pomyśleć, a Heather była taka kłótniwa...

– Teraz nie jest. Siedzi na ławce koło kuchni. Idź do niej.

– Po to przyjechałem. Moim zdaniem neutralny grunt jest lepszy do... dyskusji.

Popatrzył na nich przepaszająco.

– Wszystkie kobiety w ciąży miewają humory – wtrącił się Rick.

John zamienił się w słup soli.

– Oczywiście nie znam tego z własnego doświadczenia – dodał Rick, nieświadomy tego, co zrobił. – Ale często słyszałem, że w ciąży hormony wariują.

John spojrział Isabelle prosto w oczy.

– Heather jest w ciąży? – zapytał cicho, a kiedy skinęła głową, oświadczył: – Zaraz się z

nią rozmówię.

Po jego odejściu Rick rzekł:

– Chyba mam za długi język.

– John nie wiedział o dziecku. Dobrze, że go oświeciłeś, bo może od razu przeprowadzą zasadniczą rozmowę.

– Zasadniczą rozmowę? – powtórzył Rick, zerkając na nią podejrzliwie. – To nie zawsze prowadzi do celu.

Udała, że nie rozumie aluzji. Ich rozmowa sprzed tygodnia nic nie dała, a jedynie rozjątrzyła stare rany.

– Nie widziałam twojego ojca. Nie przyjechał?

– Leży w szpitalu.

– Co mu jest? Chyba nic poważnego? Nie znalazłby się w szpitalu, gdyby...

– Uspokój się.

Rick odebrał jej półmisek, wziął pod rękę i podprowadził do kamiennej ławki między donicami z dorodnymi paprociami i niecierpkami.

– Spędziłem w Seaporcie dwa dni. W czwartek po południu ojciec dostał silnych zawrotów głowy, więc wezwano pogotowie. W szpitalu przeprowadzono badania i zatrzymano go na obserwacji. Gdy odwiedziłem go wczoraj wieczorem, był już w lepszej formie. Dzisiaj miał wrócić do domu. Martwi się z powodu przerwy w pracy, bo terminy go gonią. Lekarz kazał mu się oszczędzać, ale pozwolił na niewielki wysiłek, więc ojciec jest względnie zadowolony.

– Jak zareagował na wiadomość o zaręczynach?

– Ze śmiechem poklepał mnie po plecach. Żałował, że ominie go przyjęcie.

– Dobrze, że mu powiedziałaś – szepnęła Isabelle. Ogarnął ją wielki smutek.

– Wziąłem ze sobą Marniego. Bardzo lubi jeździć samochodem, bo przez cały czas wystawiał nos za okno. Oczywiście nie zabrałem go do szpitala, tylko zamknąłem w domu. Pan Charles został w Portlandzie.

– Czemu tak go nazwałeś? Skąd go masz?

Rick uśmiechnął się ciepło. Isabelle westchnęła. Taki człowiek zasługiwał na lepszą żonę niż Chloe.

– Pewnego deszczowego dnia, pół roku temu, na progu mojego mieszkania zjawił się kot. Był chudy jak szczapa i miauczał jak opętany. Pytałem sąsiadów, zamieściłem ogłoszenie w gazecie, rozlepiłem kartki na okolicznych słupach. Nikt się nie zgłosił. Po paru dniach chudzielec ośmielił się spać w moim łóżku. Weterynarz określił jego wiek na plus minus rok. Pewnie wychowywał się z psami i dlatego polubił Marniego.

– Ale skąd takie imię?

– Gdy przybłąda utył i wyładniał, uznałem, że zasługuje na porządne imię. Początkowo wołałem na niego Charlie, ale Chloe wołała pana Charlesa i tak zostało.

– Jest piękny.

– Zdziwiło mnie, że od razu zaakceptował psa. Coś mi się zdaje, że pan Charles i Marnie będą za sobą tęsknić, kiedy wrócisz do Seaportu.

– Tak, niedługo wracam. Cieszę się, że dzisiaj rozmawiamy spokojnie.
– Ja też.
– I bardzo się cieszę, że twój ojciec wreszcie poddał się badaniom.
– Lekarz rzucał na niego gromy za palenie. Staruszek jest potwornie uparty.
– Nie tylko on... Muszę przeprosić cię za kąśliwe uwagi o Chloe. Nie mam prawa jej krytykować.

– Trochę cię rozumiem. Zresztą ja ciebie też muszę przeprosić.

– Za co?

– Miałaś rację, kiedy obwiniałaś mnie o tajemne plany dotyczące studiów. Ale wiedziałem, że będziesz niezadowolona, a ojciec wpadnie w szal, i dlatego cichcem robiłem swoje. Źle postąpiłem.

Isabelle położyła dłoń na jego rękę.

– To już przeszłość. Życie płynie dalej, jak mawia twój ojciec. Masz przed sobą świetlaną przyszłość. Słyszałam dużo miłych uwag o tobie.

– Na przykład?

– Zdaniem kobiet jesteś zabójczo przystojny, a zdaniem mężczyzn szalenie zdolny. Padły dwa nazwiska: Chesterfield i Holgate, które wydają mi się znajome, chociaż nie wiem, dlaczego.

Rick wyprostował się i zmarszczył brwi.

– Kto to mówił?

– Dwaj starsi panowie. Jeden niski, z rudą bródką, a drugi wysoki, o arystokratycznych rysach.

– Wujowie Chloe.

Właśnie w tym momencie ukazała się narzeczona. Przyjaźnie patrzyła na gości, ale jej twarz zmieniła się, kiedy zobaczyła Isabelle i Ricka siedzących na ławce. Natychmiast ruszyła prosto do nich.

Isabelle poczuła przyspieszone bicie serca. Postanowiła być uprzejma i zachować spokój. Wypada pamiętać, czyje to zaręczyny.

Rick wstał bez słowa, zaszedł narzeczonej drogę i zaprowadził ją do domu.

Isabelle poczuła się odtrącona. Odczekała chwilę i poszła do kuchni. Tam zastała przyjaciółkę łkającą w ramionach męża. Najwyraźniej małżonkowie pogodzili się, więc im szybciej ona opuści Portland, tym lepiej. Lecz jak zdobyć pieniądze na zapłacenie za nową wykładzinę? To, co otrzyma od Heather, starczy na kilka rat, a potem? Czy w połowie lata uda się jej znaleźć pracę? Może w „Coffee Hut”...

Ale pieniądze nie stanowiły najważniejszej kwestii. Musiała czym prędzej opuścić Portland z innego powodu. Wciąż darzyła gorącym uczuciem mężczyznę, który nie był wolny.

Musi zapomnieć o Ricku.

Po raz drugi.

Kuchenne okno wychodziło na wąską uliczkę i rolety zwykle były spuszczone. W

niedzielę Rick podniósł je, licząc, że zainteresuje się światem zewnętrznym i przestanie wałkować ten sam temat.

Nie pomogło. Nie mógł się skupić. Z pokoju dobiegał głos Chloe, która opowiadała koleżance o przyjęciu. Dopiero w ostatnich dniach Ricka uderzyło, że narzeczona ma mnóstwo koleżanek. Już wcześniej dziwił się, że Chloe potrzebuje tak licznej asysty. Na przykład podczas zakupów.

Hm, kobiety od wieków stanowią zagadkę. Przyszły teść często wypowiadał się o tajemniczości kobiet takim tonem, jakim ludzie mówią o możliwości istnienia życia na innych planetach.

Chloe od godziny wisiała na telefonie, co Ricka mocno irytowało. Chciał przeprowadzić z nią poważną rozmowę. Zrobi to natychmiast... Opuścił roletę i poszedł do pokoju, ale Chloe na migi kazała mu wyjść.

Pan Charles siedział wysoko na komodzie, a wpatrzony w niego Marnie piętro niżej. Rick zaobserwował, że terier zaczepia kota wyłącznie w czasie wizyt Chloe. Zagadkowe, przewrotne... Jak prawie całe zachowanie psa, przynajmniej ostatnio.

Wziął Marniego na smycz i wyprowadził na werandę. Usiadł na ławce, a terier skakał koło niego.

Słońce przyjemnie grzało, więc Rick przymknął oczy. Paplanina Chloe odpłynęła w dal, szum samochodów przycichł i przypominał szum oceanu. Gdyby powiał wiatr, można by ulec złudzeniu, że jest się w Seaporcie. A zapach petunii i brzęczenie pszczoły...

– Dzień dobry.

Bez otwierania oczu wiedział, kto przyszedł. Marnie rzucił się na powitanie.

– Próbowałam zadzwonić...

– Chloe od godziny okupuje telefon.

– Widocznie omawia sprawy wielkiej wagi.

Rick przyjrzał się Isabelle. Wyglądała bardzo ładnie w różowej bluzce. Śliczną twarz okalały kręcone włosy, a palce aż go świerzbiły, by odgarnąć opadające na czoło loki.

– Chciałam uprzedzić, że przyjadę po Marniego. Dziś wracam do domu.

– Heather i John pogodzili się?

– Tak. Teraz powinni zostać sami, a ja stęskniłam się za morskim powietrzem.

– To... wspaniale.

Z domu wyrzała Chloe.

– A ta znowu tutaj! – syknęła. – Pani nigdy nie rezygnuje, co?

Ostentacyjnie głośno zamknęła drzwi.

– Chodźmy. Pozbieram rzeczy Marniego.

– Posiedzę tutaj.

– Jak wolisz.

Rick zostawił uchylone drzwi, więc widziała, jak wkłada rzeczy do papierowej torby. Chloe siedziała na kanapie i nerwowo przeglądała czasopismo. Rick wiedział, co go czeka – po wyjściu Isabelle usłyszy kilka gorzkich słów. Nawet mu to odpowiadało, bo sam też miał coś do powiedzenia.

Przystanął w drzwiach i przez moment przyglądał się Isabelle. Siedziała na ławce, pies rozciągnął się u jej stóp, a kot leżał na balustradzie.

– Tu jest wszystko. – wskazał torbę.

Isabelle wstała i przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Rickowi zrobiło się bardzo przykro, ale nie widział innego wyjścia. Isabelle musi zrozumieć, że to koniec. Wolałby oszczędzić jej przykrości i zakłopotania.

– Proszę – rzekł, podając torbę.

– Dziękuję. Po powrocie wstąpię do twojego ojca. Zadzwoń, jeśli uznam, że jest coś, o czym powinienś wiedzieć.

– Nie fatyguj się – powiedział ze sztuczną obojętnością. – Rozmawiałem z ojcem dziś rano. Wrócił do domu i czuje się dobrze. Wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby jutro wziął się do roboty. Myśl o sobie, używaj wakacji, nie przejmuj się moim ojcem... ani mną.

Isabelle poczuła w sercu ból.

Trudno. Czasem trzeba być okrutnym. To jest ostateczne pożegnanie. Isabelle musi to zrozumieć.

– Dbaj o siebie – dodał ciszej.

Isabelle skinęła na Marniego i bez słowa odeszła. Na zawsze. Kot tęsknie patrzył za psem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nigdy, nawet gdybym żył tysiąc lat, nie zrozumieję ludzi. Czemu tak komplikują sobie życie? Dlaczego toczą ze sobą wojny, niweczą szanse na szczęście?

Weźmy dla przykładu psy. Ich gorące uczucia są nietrwale, ale jakiej dostarczają przyjemności. W dodatku bez zobowiązań, bez pretensji.

No i wróciliśmy do domu. Przez całą drogę Isabelle pociągała nosem, co chwila wycierała oczy i mówiła do siebie. Chętnie rozstałem się z kotem, ale żałowałem, że Rick nie jedzie z nami, bo on zawsze otwierał mi okno, a Isabelle rzadko to robi. Poza tym on wstępował do przydrożnych knajpek i częstował mnie frytkami. Jeśli moja pani w ogóle raczy przerwać krótką podróż, to zatrzymuje się w parku albo nad rzeką i idziemy na spacer.

Proszę mnie dobrze zrozumieć. Teoretycznie nie mam nic przeciwko spacerom, ale Isabelle zawsze trzyma mnie na smyczy, zabrania pływać i obwąchiwać pojemniki na śmieci. Dlatego podróż z Rickiem jest o sto razy przyjemniejsza.

Dziwne, ale w połowie drogi przygnębienie zaczęło mnie opuszczać. Byłem z siebie zadowolony, bo siłą nieugiętej woli przekonałem moją panią, że czas wracać do domu. Niewątpliwie potrafię oddziaływać na ludzką podświadomość.

Podczas pożegnania bacznie obserwowałem Isabelle i Ricka i ani przez moment nie wątpiłem, że obojgu chodzi o zapewnienie mi przyzwoitego domu. Oby jak najdalej od Ignatza... Och, właśnie uświadomiłem sobie, że pudel będzie na mnie czatował. Straszne! W porównaniu z nim koci szpieg jest dużo lepszy.

Znowu dygresja. Raz na zawsze ustalmy jedno: moje szczęście oraz ich szczęście... zależało wyłącznie ode mnie. Oni nie zamierzali nic z tym fantem zrobić, więc ja musiałem wyostrzyć wszystkie zmysły, wykorzystać moje zdolności. Biedna Isabelle wzdychała i pociągała nosem, a ja w duchu podśpiewywałem: Rickie, Rickie, Rickie. Ale przyznam się, że myślałem: frytki, frytki, frytki.

Niema ideałów...

Przez dwie godziny i sto sześćdziesiąt kilometrów Isabelle zastanawiała się, jak postąpić. Posłuchać zawołanego polecenia Ricka i nie przejmować się jego ojcem czy być posłuszną intuicji i odwiedzić chorego?

Nie umiała zdecydować.

Puckowi zależało, by znikła z horyzontu i to było zrozumiałe. Lecz dostawała gęziej skórki na myśl, że rozmawiał o niej z narzeczoną i wspólnie opracowali plan, który Rick przeprowadził.

Zaraz, zaraz! Na ile można Chloe przypisać zasługę za delikatne postępowanie Ricka? Jej propozycja byłaby raczej w stylu: „Weź pistolet, wymierz prosto w łeb i naciśnij spust”

Isabelle zmęczyła się wałkowaniem przykrego tematu i wreszcie podjęła decyzję. Pan Manning jest chory, więc jeśli ma ochotę go odwiedzić, to zrobi to. Rick może się wypchać, a jego narzeczoną niech strzeli w łeb sobie.

Skreśliła do domu pana Manninga. Już z daleka widziała, że brama jest zamknięta na kłódkę i łańcuch. Furtka też była zamknięta. Po posesji kręciło się kilku mężczyzn. Jeden z nich zauważył Isabelle i otworzył furtkę.

Hala, w której budowano łodzie, była zamknięta na głucho, a przecież stamtąd prowadziły schody do mieszkania. Isabelle wystraszyła się, że chorego znowu zabrano do szpitala.

Spojrzała na teriera obwążującego drzwi po lewej stronie i przypomniała sobie, że to jest drugie, rzadko używane wejście. Zastukała, nacisnęła klamkę, otworzyła skrzypiące drzwi i głośno oznajmiła swoje przybycie. Usłyszała niezbyt wyraźne zaproszenie na górę.

Zastała pana Manninga w fotelu z podnóżkiem. Telewizor był włączony, ale głos wyciszony, więc chory prawdopodobnie drzemał. Pocałowała go w policzek.

– Przepraszam, że przeszkadzam.

– Dziecino, ty nigdy mi nie przeszkadzasz. Bardzo się cieszę, że cię widzę. Przynies z lodówki piwo i siadaj koło mnie.

W kuchni piętrzył się stos brudnych naczyń, które Isabelle chętnie by umyła, ale powstrzymała się. Kiedyś zaczęła sprzątać, ale pan Manning w dosadnych słowach zabronił jej tego. Wzięła dwie puszki piwa, wróciła do pokoju i rozejrzała się. Nie było żadnego wolnego miejsca, więc usunęła czasopisma z drugiego fotela.

– Chętnie przygotuję panu coś do jedzenia – zaproponowała.

– Dziękuję za dobre chęci. Zjadłem pizzę. – Wskazał puste pudło. – Wstyd mi, że nie mam nic dla gościa.

– Nie szkodzi – zapewniła, chociaż w tym momencie zaburzało jej w brzuchu.

Pan Manning pogłaskał teriera i westchnął.

– Przeklęty szpital. Tam jest jak w ulu, człowiek nie ma chwili spokoju.

– Rick wspominał o zaburzeniu równowagi.

– Jakie tam zaburzenie! Gus jest nerwowy, więc gdy trochę zakręciło się mi w głowie, wpadł w popłoch i niepotrzebnie wezwał karetkę. Przez niego wpadłem w łapy lekarzy, a jak te łapiduchy wezmą kogoś w obroty, to człowiek ma szczęście, jeśli wyjdzie żywy.

– Ale dzięki nim lepiej się pan czuje, prawda?

Pan Manning pochylił się w jej stronę jakby zawstydzony, co Isabelle widziała u niego po raz pierwszy.

– Kochana, bardzo żałuję, że nie byłem na przyjęciu. Naprawdę mi przykro. Mój uparciuch wreszcie postąpił mądrze, a ja tego nie widziałem. Dobrze się bawiłaś?

Isabelle wpatrywała się w niego zdumiona. Czyżby uważał, że była na przyjęciu w charakterze gościa? Wolą nie wdawać się w szczegóły i dlatego powiedziała:

– Cieszę się, że Rick jest szczęśliwy.

– Jaki tam on szczęśliwy. Stale ma zafrasowaną minę. Zamierza się żenić, więc powinien śpiewać, śmiać się, a jest jakiś zgaszony.

– Tak pan sądzi?

– Owszem. Na pewno nie z powodu przyszłej żony. Powodem musi być ta jego cholerna robota. On nie chce mówić na ten temat, ale ja wiem swoje. Głowę dam, że zżera go nuda.

Dawniej Isabelle zgodziłaby się z taką opinią, lecz teraz nie była pewna, czy pan Manning ma rację. Po kilku spotkaniach i rozmowach z Rickiem zweryfikowała swoje stanowisko sprzed lat. Rick był zadowolony, bo spełniło się jego marzenie. Ukończył studia, a praca prawnika go pasjonowała. Uśmiechnęła się, ale milczała.

– On sam musi dojść do prawidłowego wniosku, prawda? – spytał pan Manning.

– Tak.

– No, dość o Ricku. Opowiedz mi wszystko o swoim przyjęciu.

– O moim?

– O waszych zaręczynach. Czy przyjechali twoi rodzice? Grała orkiestra i tańczyliście? Co piliście? – Pan Manning zaśmiał się pod nosem. – Czy mój syn padł przed tobą na kolana? A może wielki prawnik przysłał ci urzędowy blankiet z wezwaniem do stawienia się przed ołtarzem? Chcę znać szczegóły. No, mów.

Isabelle miała zupełną pustkę w głowie.

– Czemu milczysz?

Jak wybrnąć z sytuacji? Pan Manning najwidoczniej jest przekonany, że jego syn zaręczył się z nią. Dlaczego? Rick celowo zataił imię narzeczonej czy tylko przeoczył ten szczegół?

– Dziewczyno, zapomniałaś języka w gębie? Zresztą nie szkodzi. Jestem trochę zmęczony. Wpadnij jutro albo pojutrze. Oczywiście z psem.

Isabelle zawołała teriera, a kiedy nie przybiegł, ruszyła na obchód zagraconego mieszkania.

– Marnie!

Tym razem pies pojawił się na progu sypialni. Isabelle знаła obyczaje pana domu i upodobania swojego psa. Wiedziała, że ten pierwszy lubi jeść w łóżku, a drugi chętnie sprząta okruszki. Zajrzała do sypialni, by sprawdzić, czy psotny pupil nie wyrządził jakiegś szkody. Sypialnia wyglądała normalnie, to znaczy panował tu charakterystyczny bałagan. Koło łóżka leżał stos gazet, na krzesłach piętrzyły się ubrania, a na środku stały dwie pary butów.

Isabelle wróciła do pokoju po puszki.

– Niedługo znowu wpadnę – obiecała, wychodząc do kuchni.

– Przynieś jakieś zdjęcia! – zawołał pan Manning. Zdjęcia!?!

Trzeba będzie zawiadomić Pucka. Niech przyjedzie i sam wyjaśni nieporozumienie. Ale czy wypada dzwonić do człowieka, który wyraźnie dał jej do zrozumienia, że nie chce jej znać?

Pomyśli o tym jutro. Na pewno znajdzie jakieś rozwiązanie. Teraz jest głodna jak wilk, a w lodówce została chyba jakaś mrozonka.

Nie ciągnęło jej jednak do domu. Po rozkoszach podniebienia u Heather odgrzewane potrawy straciły wszelkie plusy. Nie miała ochoty wstępować do znajomych, nie chciała rozmawiać ani myśleć o tym, co przypominałoby Portland, Ricka, jego małżeństwo, przyszłość...

Co wobec tego robić?

Po namyśle zdecydowała: spacer po plaży. Potem może wstąpi do baru i zje frytki...

W poniedziałek Rick pojechał do kancelarii wcześniej. Chciał spokojnie popracować, nim zrobi się ruch i pojawią się pierwsi interesanci.

Jedną sprawę prowadził wspólnie z człowiekiem urzędującym w starym zaniedbanym budynku na przedmieściu. Bert Chesterfield, nazywający siebie podstarzałym hippisem, był dumny z faktu, że jedna połowa klientów zapewnia mu cały dochód, a dzięki drugiej połowie ma satysfakcję z pracy.

Sprawa była w toku, kiedy zmarła pani Henrietta Holgate, wdowa po handlarzu drewnem. Krótco przed śmiercią majątna staruszka zapisała organizacji pozarządowej duży zalesiony teren na wybrzeżu. W testamencie umieściła klauzulę, że rocznie wolno wyciąć tylko tyle drzew, by sfinansować obóz dla kalekich dzieci. Zdaniem podstarzałego hippisa wdowa miała wyrzuty sumienia, że jej mąż zbił majątek na niszczeniu drzewostanu i zapis stanowił formę zadośćuczynienia.

Niestety pojawił się problem, gdyż taki zapis uszczuplił schedę sześciorga dzieci pani Holgate, w wieku od pięćdziesięciu pięciu do siedemdziesięciu trzech lat. Potomkowie uważali, że drzewa objęte zakazem ścinania są warte miliony. Pierwszy raz od półwiecza skłócona szóstka była zgodna w jakiejś kwestii, zaangażowała wziętego adwokata i próbowała zastraszyć jedną z założycielek organizacji. Pani Marilee Jot przez kilka ostatnich lat przyjaźniła się z majątną staruszką. Bert Chesterfield reprezentował panią Jot bezinteresownie.

Rick był zły, że wujowie Chloe omawiali tę sprawę na przyjęciu. Sam nigdy z nimi o tym nie rozmawiał. Nie była to tajemnica, więc co nieco powiedział narzeczonej, ale nie lubił plotek.

Wkrótce zrobił się ruch i hałas. Rick nie mógł już się skupić i głowę zaprzątęły mu własne kłopoty. W ostatnich dniach tyle się wydarzyło...

Zajrzał pan Connors.

– Muszę z tobą pomówić.

– Już idę.

Zanosilo się na tydzień pełen wydarzeń.

Podczas pobytu w Portlandzie tęsknota za domem i skłonność do dostrzegania we wszystkim jasnych stron sprawiły, że Isabelle wspominała swoją sąsiadkę jako sympatyczną starszą panią o złotym sercu i właścicielkę miłego pudła.

W poniedziałek rano została ściągnięta z obłoków na ziemię. Obudziło ją głośnie stukanie do drzwi i wycie Marniego.

– Bądź cicho – rozkazała, narzucając sweter.

Na progu stała dziwnie odmieniona pani Pughill. Zwykle malowała włosy na rudo, ale tym razem widocznie coś źle zrobiła. Biedna kobieta była prawie łysa, a resztki czerwonych włosów rozwiewał wiatr.

Isabelle wytrzeszczyła oczy. Gdyby nie wyrwano jej z głębokiego snu, zachowałaby się delikatniej i prędzej oderwała wzrok od czerwonych kosmyków.

Obok swojej pani stał, szczerząc kły, Ignatz.

– Wróciła pani – mruknęła sąsiadka, a pudel warknął na teriera. – Kundel niestety też.

– Co panią sprowadza?
– Muszę jechać do siostry, żeby pomóc jej przy maleństwach. Isabelle tylko raz widziała panią Letkie Harrison, kobietę co najmniej sześćdziesięcioletnią.
– Przy maleństwach? – powtórzyła.
– Muszę jej pomóc.
– Szlachetny uczynek, ale... co to za maleństwa?
– Trzy słodkie szczenięta... jamniczki. Zaraz po śniadaniu jadę do Spokane w stanie Waszyngton. Na trzy dni. Proszę pilnować domu, codziennie brać moją gazetę i uważnie czytać horoskop. Jestem Skorpionem. Jeśli znajdzie pani niepomyślną wróżbę, proszę zadzwonić i mnie ostrzec.

Isabelle nie miała ochoty występować w roli wróżbitki.

– W Spokane też są gazety z horoskopami – zauważyła logicznie.
– Tam pisze ktoś inny, a ja wierzę tylko Madame Hortense. Ciemności nie służą mojej wykładzinie. Niech pani odsunie zasłony i wpuści do mieszkania trochę światła. Sama bym to zrobiła, ale wiem, jaka pani przeczulona na punkcie prywatności. Nie daruję pleśni na wykładzinie.

– Wszystkiego dopilnuję.
– Proszę pamiętać o horoskopach. Tyle chyba może pani zrobić, skoro dostaje pani ode mnie tak dużo za tak małe pieniądze.
– Życzę przyjemnej podróży.

Pudel warknął, a terier szczeknął i chciał wymknąć się z domu. Isabelle prędko zamknęła drzwi, oparła się o futrynę i popatrzyła na przedpokój. Stłamszony kilim leżał pod ścianą, więc wydrapany rowek w wykładzinie był widoczny.

– Jesteś okropny.

Marnie miał o sobie zupełnie inne zdanie.

Wyjazd właścicielki był darem niebios. Jeżeli uda się szybko załatwić sprawę, pani Pughill nigdy nie dowie się o zniszczeniu cennej wykładziny.

Isabelle natychmiast zadzwoniła do sklepu, ale niestety spotkało ją rozczarowanie. Okazało się, że najwcześniej termin jest za tydzień.

– Czemu nie można zrobić tego jutro?
– Bo jeden z pracowników zachorował, idzie na zwolnienie.
– Zapłacę więcej, byle tylko chciał pracować. Albo proszę znaleźć zastępstwo. To bardzo pilne.

W końcu wynegocjowała odpowiadający jej termin, ale musiała zapłacić o dziesięć procent więcej. Umówiła się na następny dzień, a o pieniądzach wolała nie myśleć.

W sklepie obiecano zaraz przysłać człowieka, który sprawdzi, czy podała dobre wymiary, dlatego zamknęła psa na podwórku.

Mężczyzna z dwudziestometrową miarą otrzymał identyczne wyniki jak ona przy pomocy metrowego pręta, ale kiedy otworzyła drzwi, by wypuścić fachowca, Marnie dał susa do środka.

- Co pani z nim zrobi, żeby nam nie przeszkadzał?
- Zamknę w sypialni.
- Dobrze. Do widzenia.

Isabelle spojrzała groźnie na psa, który w pozycji sfinksa siedział koło dziury własnej produkcji. Wyglądał, jakby pogrążył się w myślach o ważnych sprawach.

Zapewne planował, jaki numer wywinąć.

Teoretycznie podwórko to najlepsze miejsce dla psa, ale Marnie stamtąd ucieknie. Zamknięty w sypialni nie wybiegnie na ulicę, ale czy wykładzina nie ucierpi od ostrych zębów i pazurów? Zresztą sprytna bestia potrafiła wydostać się z pokoju Heather, a tam i tu są podobne klamki. W kuchni leżało grube, niezniszczalne linoleum, lecz brakowało drzwi. Wobec tego łazienka... Nie, też odpada, tam jest klamka.

Dlaczego nigdzie nie ma gałek?

Isabelle zaczęła dusić się w domu. Musiała wyjść. Wsadziła psa do auta i długo krążyła po mieście, aż burczenie w brzuchu przypomniało jej o posiłku. Zajechała przed sklep, by kupić świeże owoce i warzywa.

Włożyła zakupy do bagażnika, otworzyła drzwi auta i zrobiło się jej białe w oczach. Czyżby padał śnieg? Nie. To Marnie podarł ligninowe chusteczki.

Patrzyła na zimowy pejzaż oczami pełnymi łez. Miała ochotę zadzwonić do Ricka, usłyszeć go, wezwać natychmiast na ratunek.

Marzenie ściętej głowy. Dlaczego miałby ją ratować? Przecież nie stało się żadne nieszczęście. Podarte chusteczki to drobiazg. A rozczarowanie i niemożność zapomnienia o przeszłości też da się przeżyć.

Rick niestety jest nieosiągalny, należy do innej kobiety.

Łzy trysnęły strumieniem i spłynęły po policzkach. Rozstanie z Rickiem było okropne! A jeszcze straszniejsza była myśl, że będzie spotykać go rzadko albo wcale.

Sięgnęła po chusteczkę, ale pudełko było puste. Jakie szczęście, że właśnie kupiła papierowe ręczniki. Wytrzeła nos i twarz, po czym „odśnieżyła” przednie siedzenie.

Marnie leżał wyciągnięty z tyłu, jakby wyczerpała go niezwykła działalność. Cały był pokryty kawałkami ligniny i w tak niecodziennej szacie przypominał niewinne jagnię. Myny nie miał ani trochę skruszonej.

– Zaraz kupię budę i cię zamknę – zapowiedziała jego pani. – Albo łańcuch, i przytwierdzę cię do płotu – dorzuciła i choć zdawała sobie sprawę, że to czczy groźba, poczuła się lepiej. A Marnie przyjął jej słowa obojętnie.

– Pewnie uważasz się za wcielenie szatana, co? Masz wygórowane mniemanie o sobie, jesteś tylko małą psiną.

Marnie zawył, co zabrzmiało jak protest.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Dzień pierwszy: Uważaj, co zamierzasz, bo nie wszystkim spodobają się twoje plany. Zrezygnuj, jeśli bliska ci osoba zgłosi sprzeciw. Dwie gwiazdy.

Isabelle złożyła gazetę i spojrzała na teriera.

– Wiesz, może jednak coś w tym jest. Ciekawe, jak pani Harrison zareagowała na to, że siostra chce pomóc jej przebrnąć przez szczenięcy kryzys, ale przywiozła starego pudła. Co o tym sądzisz? Czy według ciebie to niepomyślny horoskop? Co znaczą dwie gwiazdy? Zadzwoń do pani Pughill czy nie?

Marnie nie raczył odpowiedzieć, ale potem gniewnie ujął, gdy grubym sznurkiem przywiązywała go do płotu. To był jedyny sposób, żeby nie przeszkadzał wykładzinowej ekipie.

Praca postępowała znacznie wolniej, niż pierwotnie zakładano. Między innymi dlatego, że fachowcy od siedmiu boleści nie wszystko przywieźli i trzech musiało wrócić do magazynu. Około jedenastej głównodowodzący zapytał:

– To pani pies jest na podwórku?

– Tak. Musi się wyszczezać – odparła spokojnie.

– Nie chodzi o szczekanie. Niech pani zobaczy, co on wyczynia.

Isabelle wyjrzała przez okno i załamała ręce. Terier wygrzebał dziurę pod płotem, przedostał się na podwórko sąsiadki i biegając naokoło słupka suszarki, niebezpiecznie skrócił sznurek.

– Jeszcze trochę, a zadusi się na śmierć – orzekł mężczyzna, potężnie kichając; widocznie był to ten przeziębiony robotnik.

Isabelle wyszła frontowymi drzwiami, okrążyła dom i wpadła na podwórko sąsiadki.

– Co ty wyprawiasz! Nie mam już do ciebie siły! – krzyknęła ze złością.

Odwiązała sznurek, przypięła przezornie zabraną smycz i wyprowadziła przestępcę z cudzego terenu. Nim doszła do swoich drzwi, przed dom zajechał wóz z magazynu oraz czerwona półciężarówka. Oba pojazdy zatrzymały się z przeraźliwym piskiem opon. Isabelle usłyszała, że ktoś ją woła, więc odwróciła głowę, a w tym momencie Marnie szarpnął się i wyrwał smycz.

Zdumiona Isabelle patrzyła na pana Manninga, który szedł sztywno, z marsową miną.

– Co to ma znaczyć? – zawołał.

Milczała, ponieważ nie miała pojęcia, o co chodzi. Pan Manning wcisnął jej do ręki gazetę z ubiegłego miesiąca.

– Czy to jakiś głupi dowcip? – warknął.

Na zdjęciu był uśmiechnięty Rick i jego nadaśana narzeczona.

– Mnie to wcale nie śmieszy – wycedził starszy pan przez zaciśnięte zęby.

Zaintrygowani robotnicy przystanęli, ale Isabelle zmarszczyła brwi, więc szybko poszli do domu.

– To nie dowcip – wykrztusiła ledwie dosłyszalnie. – Rick zaręczył się z tą kobietą.

Pan Manning wyjął z kieszeni czerwoną chustkę i wytarł twarz. Isabelle zobaczyła w jego oczach łzy i sama też się rozplakała.

– Dlaczego powiedział mi, że żeni się z tobą?

Rick prawdopodobnie nie kłamał, ale jego ojciec usłyszał to, co chciał usłyszeć.

– Przykro mi. Proszę zadzwonić do Ricka, niech to wyjaśni.

– Ale on i ty...

– Rick żeni się z Chloe Connors. Polubi ją pan... Jest... miła.

– Dlaczego to przemilczałaś?

– Nie wiedziałam, jak panu powiedzieć.

Staruszek objął ją i mocno przytulił. Isabelle bała się, że się rozklei.

Po chwili pan Manning odsunął się i zaraz odjechał.

A gdzie pies? Isabelle rozglądała się za swoim pupilem, gdy z domu wyszedł jeden z robotników.

– Co za pech! – zawołał. – Nie uwierzy pani, ale przywieźliśmy złą wykładzinę.

Jeszcze i to... Ruszyła na poszukiwanie psa.

Pierwszy raz jechałem półciężarówką. Ukryłem się pod niedbale rzuconą marynarką. Na podłodze znalazłem sporo orzeszków ziemnych. Dobra nasza!

Siedziałem cichutko, a ujawniłem się dopiero na miejscu. Rozbawiony ojciec Ricka zadzwonił do mojej pani z wiadomością, że wiozł pasażera na gapę. Jak przewidziałem, Isabelle pozwoliła mi zostać poza domem. Długo udowadniałem, że jestem niepoprawny, ale wysiłki się opłaciły.

Pan Manning pogłaskał mnie po łbie. Ale on ma łapę! Odniosłem wrażenie, że moje biedne półkule wirują jak kula ziemską.

Szkutnik zakasał rękawy, a ja zwinąłem się w kłębek i zamknąłem oczy. Udawałem, że śpię, a wysyłałem telepatyczne fale do ojca Ricka z prośbą, żeby wkroczył do akcji.

Teraz przyznam się, że gdy wstąpiliśmy tutaj przejazdem, skorzystałem z okazji i przejrzałem leżące w sypialni gazety. Pan Manning i Isabelle gawędzili, a ja odszukałem zdjęcia i zostawiłem w takim miejscu, żeby prędzej lub później wpadły w oko komu trzeba. Nie lubię się chwalić, ale to było wyjątkowo trudne zdanie.

Postąpiłem tak, ponieważ wyczułem, że gdy ojciec Ricka pozna prawdę, stanie się moim sprzymierzeńcem. A dlaczego wskoczyłem do jego wozu? Po prostu zawsze wykorzystuję nadarżające się okazje, a pan Manning zostawił otwarte drzwi.

Skupiłem się z całej siły i wreszcie usłyszałem głośny krzyk oraz wiązkę jędrnych słów. Otworzyłem oczy i zobaczyłem krew.

Czasem moje zdolności bardzo mnie zdumiewają!

Isabelle obejrzała wykładzinę pod wszelkimi możliwymi kątami, ale nie widziała różnicy między nową i najnowszą. Wątpliwi fachowcy wystartowali z poślizgiem, jednak potem solidnie pracowali i udało się im wykonać zadanie w ciągu jednego dnia. Ich dzieło

wyglądało tak dobrze, że pani Pughill nigdy nie odkryje prawdy.

Isabelle pomyślała, że łatwiej położyć wykładzinę, niż upilnować psa. Wolałaby uniknąć zamykania Marniego w budzie na osiem godzin, ale nie stać jej było na częste naprawianie szkód, a coraz bardziej niepokoiły ją destrukcyjne zapędy pupilka.

Przed domem pana Manninga zobaczyła samochód Ricka. Nie miała ochoty go spotkać. Co on tutaj robi? Czy ojciec go wezwał? Jak niepostrzeżenie zabrać Marniego?

Nim rozstrzygnęła dylemat, otworzyły się boczne drzwi i wyszedł Rick.

Isabelle miała niebieskie spodnie i obcisłą bluzkę. Wyglądała niewinnie, ale tak zalotnie kołysała biodrami, że ogarnęły go myśli, na jakie od dawna sobie nie pozwalał.

– Co za niespodzianka! – zawołała. – Co cię sprowadza?

– Marnie.

– Słucham?

– Marnie mnie wezwał.

– Człowieku, co ty wygadujesz?

– Ojciec...

– Och, nic nie wiesz – przerwała mu. – Zobaczył w gazecie zdjęcia i informację o twoich zaręczynach. Był zły i nieszczęśliwy, że żenisz się z Chloe. Źle cię zrozumiał. Myślał, że ty i ja... że ze mną...

– Wiem. Już wszystko mu wyjaśniłem. Isabelle odetchnęła z ulgą.

– Co to znaczy, że Marnie cię wezwał?

– Ojciec paskudnie zranił się dżetem. Pierwszy raz w życiu! Gus zawiózł go na pogotowie, ale przedtem zamknął psa w pokoju. Marnie jakoś tak stracił telefon, że dostałem sygnał. Zadzwoiłem raz i drugi, a ponieważ ojciec nie odebrał, przyjechałem.

– Ciekawe, co ten mój spryciarz jeszcze wymyśli.

– Dobrze się złożyło, że zadzwonił.

– Dlaczego?

– Ojciec nie przyznałby się do wypadku, a jeżeli za trzy tygodnie nie odda łodzi, straci premię. Na szczęście zostało do zrobienia tylko to, co i ja potrafię. Biorę urlop, żeby mu pomóc.

– A Chloe? Rick skrzywił się.

– Co to znaczy?

– Ślub odwołany.

Rick miał nadzieję, że tyle wystarczy, ale się przeliczył.

– Dlaczego? – dopytywała się Isabelle.

– Powiem ci to samo, co ojcu: nie twoja sprawa.

– Byliście szczęśliwi. Co się stało? I co z pracą? Czy niedoszły teść cię wyrzuci?

– Jesteś najbardziej wścibską babą pod słońcem. Nadal mam pracę, a pan Connors nie komentuje naszej decyzji.

– Ale biedna Chloe...

– Nie udawaj, że żałujesz „biednej Chloe”.

– Może faktycznie nie żałuję – przyznała się Isabelle ze śmiechem.

– Była bardziej zakochana w przygotowaniach do ślubu niż we mnie. Reszta nie powinna cię obchodzić.

Isabelle przygryzła wargę i zamyśliła się na chwilę.

– Akurat jestem wolna. Jak mogłabym pomóc twojemu ojcu?

– Możesz zorganizować coś do jedzenia – padła odpowiedź od drzwi.

Na progu stał pan Manning z obandażowaną ręką. W dziennym świetle wyglądał bardzo źle. Rick się przestraszył.

– Tato, dostałeś silny środek przeciwbólowy i nie powinieneś chodzić po schodach.

– Umieram z głodu – poskarżył się pan Manning.

– Zje pan hot doga?

– A umiesz zrobić? – spytał Rick kpiącym tonem.

– Owszem, szanowny panie. Ale mogę też skoczyć do sklepu i kupić.

– Świetny pomysł – ucieszył się pan Manning. – Tak będzie prędzej.

– Ja nie jem kiszanej kapusty – zastrzegł się Rick.

Dzień drugi: Trudno będzie utrzymać w sekrecie coś ważnego. Sprawy sercowe skomplikują się, jeśli zazdrość zaćmi ci wzrok. Dwie gwiazdy.

– Starsza osoba chyba może obejść się bez tej przepowiedni. Marnie, jak sądzisz?

Terier swoim zwyczajem nie odpowiedział, ale Isabelle nie zwróciła na to uwagi. Wciąż jeszcze roztrząsała rewelacje Ricka. Na jego decyzję, by zerwać z narzeczoną, na pewno; wpłynęło coś bardzo istotnego. Jednak skoro nie chciał nic zdradzić, może to Chloe się rozmyśliła? Jakkolwiek było, czy możliwe, że winę ponosi osoba trzecia? Czyżby to Isabelle nieświadomie przyczyniła się do rozstania?

Jeśli tak, to chyba uratowała Ricka przed nieudanym małżeństwem, które z pewnością zakończyłoby się rozwodem. Niemożliwe, żeby naprawdę kochał taką kobietę jak Chloe. Dlaczego? Ponieważ taki mężczyzna jak on powinien kochać taką kobietę jak... Isabelle Winters.

Ona wciąż go kochała, ale była to pilnie strzeżona tajemnica. Jej serce szalało z radości na myśl, że Rick nie ożeni się z Chloe i że znowu będą blisko.

Dni były wypełnione po brzegi, miała mało czasu na rozmyślanie. Rano musiała uważnie przeczytać horoskop i zdecydować, czy dzwonić do pani Pughill. (Decyzja zawsze była negatywna). Trzeciego dnia sąsiadka zadzwoniła i nagrała się na automatyczną sekretarkę. Okazało się, że musi zostać u siostry dłużej, może trzy tygodnie. Poleciała wyrzucać gazety, ale zachować horoskopy.

Isabelle zachodziła w głowę, po co komu stare horoskopy. Jaki z nich pożytek? Czy staruszka wkleja je do albumu i po roku porównuje z aktualnymi przepowiedniami?

Dzień trzeci: Dla innych możesz zrobić więcej niż dla siebie. Cierpliwość zostanie nagrodzona. Cztery gwiazdy.

Dzień czwarty: Odlóż ważne decyzje. Nie pozwól, żeby namówiono cię na zrobienie

czegoś, co budzi twoje wątpliwości. Dwie gwiazdy.

Dzień piąty: Inni niekoniecznie zgodzą się z tobą. Rozważ wszystkie za i przeciw i zrób to, co według ciebie jest słuszne. Dwie gwiazdy.

Z każdym dniem Isabelle była coraz bardziej zdumiona. To tylko złudzenie? Czy horoskopy można tak interpretować, żeby odpowiadały wszystkim czytającym? Posłusznie wycinała je i składała na półce przy drzwiach.

Pod koniec tygodnia przybył nowy kłopot w postaci kota, który pojawił się na progu i żałośnie miauczał. Isabelle chodziła z nim od drzwi do drzwi, aż dowiedziała się, że właścicielka czmychnęła z miasta, nie zapłaciwszy komornego. Nikt nie chciał wziąć znajdy. Nawet w schronisku nie było wolnych miejsc.

Kichając i ocierając łzy, Isabelle wymościła ręcznikiem pudło i ustawiła w kącie w kuchni. Wytrwale pytała znajomych, czy ktoś chce ślicznego kotka.

Przybyło jej obowiązków, ale nie narzekała. Lista tego, co według pana Manninga należało zrobić przed oddaniem łodzi, wydłużała się, zamiast skracać. Isabelle dzielnie pomagała Rickowi, ale wieczorem ledwie żyła ze zmęczenia. Mimo to czuła się szczęśliwa.

Dlaczego?

Co za pytanie! Jej ukochany wrócił do Seaportu. Miał dobry charakter, złote ręce i poczucie humoru. Pomagał ojcu, z nią się przekomarzał, z psem biegał po plaży. A czasem patrzył takim wzrokiem, że jej serce podskakiwało.

Przywoływała się do porządku i mówiła sobie, że osoba, która zerwała zaręczyny, zawsze może się rozmyślić. Czy Rick wróci do Chloe? Czy narzeczeni się pogodzą?

Musi być ostrożna.

Ale jak zachowywać ostrożność w miłości?

Isabelle chciała się dowiedzieć, co naprawdę zaszło między Chloe a Rickiem, ale on zręcznie uchylał się od odpowiedzi, choć pytała uparcie. Wytrwał dwa tygodnie, jednak; wreszcie się poddał i zrezygnowany ciężko westchnął.

– Nie dajesz mi spokoju, chyba zadręczysz mnie na śmierci Jesteś uparta jak osioł.

– Nie tylko ja.

Utarło się już, że jedli kolację we troje, po czym pani Manning oglądał telewizję, a jego syn sprzątał na parterze, Marnie przeprowadzał rewizję w poszukiwaniu okruszków a Isabelle zmywała naczynia, na co otrzymała niechętnie zezwolenie. Potem wracała do domu, karmiła kota i kładła się spać. Od świtu do nocy chodziła jak w kieracie. Tego wieczora Rick zapytał:

– Masz ochotę na spacer po plaży?

– Owszem.

Marnie pobiegł naprzód. Isabelle była szczęśliwa. Spacer przywołał najmiłsze wspomnienia. Świecił księżyc, obok szedł Rick... Była trochę zmęczona, ale ożywiona i podniecona.

Doszli do strumienia przecinającego plażę. Tutaj mieli do wyboru albo zamoczyć nogi po kolana, albo zawrócić.

Zawrócili. Niebawem dogonił ich Marnie. Otrząsając się, opryskał ich wodą. Czas

najwyższy ostrzyć go według kanonów psiej mody. Zawsze ślicznie wyglądał po stryżeniu, ale obrośnięty jak owieczka też był uroczy.

Co się ze mną dzieje? – zdziwiła się Isabelle. Na pustej plaży skąpanej w księżycowej poświacie myślała o stryżeniu psa! Rick chyba zamierzał coś powiedzieć, ale milczał jak zakłęty. Trzeba przerwać ciszę.

– Kto opiekuje się twoim kotem? – zagadnęła.

– Sąsiedzi wzięli go do siebie. Nie będzie mu źle.

– Mówiłam ci, że u mnie jest kocia przybłąda? Stale mam czerwone oczy, ale co poradzę? W schronisku brak miejsca.

– Patrz, koty znajdują człowieka. Jeden ciebie, drugi mnie. Dziwne, co?

Rozmowa o kotach prowadziła donikąd, więc Isabelle zmieniła temat. Trudno, trzeba mówić bez ogródek.

– Wspólna praca przy łodzi i spacerzy po plaży przywołują miłe wspomnienia, prawda?

Rick przystanął, więc i ona się zatrzymała.

– Dawniej stale było ci zimno. Ubierałaś się jak cebula, a i tak dygotałaś.

Nie dodał, że wtedy tuliła się do niego.

– Zaaklimatyzowałam się.

– A ja gram na pianinie i mam kota.

– Jestem nauczycielką.

– A ja adwokatem.

– I co z tego wynika?

– Że oboje bardzo się zmieniliśmy. Czas płynie, życie dalej się toczy...

– Mówisz jak twój ojciec.

Isabelle poczuła się rozczarowana. Rozmowa pod gwiazdzistym niebem wcale nie była romantyczna, a co gorsza słowa Ricka brzmiały jak ostrzeżenie. Czyżby błędnie oceniła ukradkowe spojrzenia i przypadkowe muśnięcia? Czy jedynie zdawało się jej, że znowu działa magia uczuć?

Wystraszona spuściła wzrok.

– Masz rację – szepnęła.

Rick zrobił kilka kroków, po czym przystanął, spojrzał na nią i znów ruszył dalej. Tym razem przez kwadrans szedł w milczeniu.

– Nie należy spotykać się z kobietą, jeśli nosi się w sercu; inną – rzekł w końcu cicho.

No, to przynajmniej wiem, na czym stoję, pomyślała Isabelle. Rick nadal kocha Chloe. Była zrozpaczona. Nagle Rick objął ją i stanęli twarzą w twarz.

– Nigdy nie wyzwoliłem się spod twojego uroku. Próbowałem ze wszystkich sił, wmawiałem sobie, że się udało, ale nie udało się i nigdy nie uda.

Patrzyła na niego oniemiała.

– Isabelle?

– Nie wiem, co powiedzieć – szepnęła.

– Zawsze byłaś obecna w moich myślach, w moim sercu, we wspomnieniach i w sennych marzeniach. Nie mam pojęcia, co w tobie jest, ale wydaje mi się, że...

Zarzuciła mu ręce na szyję. Jego gorące pocałunki wzniciły pożar w całym ciele.

– Och, jak ja za tobą tęskniłam.

– Powiedziałem Chloe, że jej nie kocham.

– Dzięki Bogu!

– Nie wiedziałem, co ty czujesz.

– Teraz już wiesz. Myślałam, że odtrącasz mnie na wieki. – Pocałowała go i spojrzała mu w oczy. – Tego ostatniego dnia, kiedy powiedziałeś, żebym...

Rick delikatnie musnął jej policzek.

– Długo myślałem o naszej rozmowie na przyjęciu i zrozumiałem, że nie mogę ożenić się z Chloe. Uświadomiłem sobie, że moje uczucia do ciebie nie są jedynie błędym wspomnieniem z przeszłości. Byłem jednak przekonany, że musimy się rozstać, bo chcę żyć po swojemu.

– Ale...

– Ale zadzwonił Marnie, przyjechałem, zobaczyłem cię i zrozumiałem, że nie mogę bez ciebie żyć. – Pocałował ją, tym razem znacznie dłużej. – Musimy porozmawiać. Ostatnie dni z ojcem były...

– Cudowne, prawda? – przerwała mu uradowana. – Teraz takie będzie nasze życie. Wspólna praca, spacer z psem lub bez...

– Tak, ty i ja... cudowny... nierzeczywisty czas...

– Och, jaka jestem szczęśliwa. Kocham cię! Och, jak bardzo kocham.

Te słowa czekały na wypowiedzenie tyle czasu.

Dopiero później, kiedy Isabelle leżała już w łóżku, uświadomiła sobie, że Rick nie powiedział, że ją kocha.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Oni zaczęli się całować, a ja odszedłem nieco dalej, do kupki wodorostów, od której zalatywało bardzo interesująco. Byłem zajęty obwąchiwaniem, miałem nos w wodorostach, ale słyszałem wyznanie miłości. Od razu uznałem, że wykonałem swoje zadanie, mogę spakować manatki i przenieść się do Portlandu.

Tylko dlaczego Isabelle przez całą noc wierciła się i smętnie wzdychała?

Ciekawe, co zrobi z kocią znajdą.

Dzień piętnasty: Dzisiaj będziesz w sentymentalnym nastroju. Znajdziesz swoje miejsce na ziemi. Pięć gwiazd.

Isabelle położyła wycięty horoskop razem z innymi, nakarmiła zwierzęta i jak na skrzydłach pobiegła do zakładu pana Manninga.

Spędziła bezsenność noc, rozpamiętując wszystko, co Rick powiedział i co sama powiedziała. Miała wrażenie, że przeoczyła coś istotnego, ale nie wiedziała co.

Zaraz spotka się z Rickiem i wszystko się wyjaśni.

Gdy przyjechała na miejsce, właśnie szedł do samochodu. Niósł dużą torbę, miał okulary przeciwsłoneczne i garnitur zamiast stroju roboczego. Na moment sparaliżował ją irracjonalny strach, ale prędko się opanowała.

– Dzień dobry – zawołała. – Czy coś się stało? Rick pocałował ją obojętnie.

– Muszę jechać do Portlandu. Postaram się wrócić za kilka dni. Zadzwoń.

Isabelle wpatrywała się w niego oniemiała.

– Sprawa jest dość skomplikowana... Niejasności prawne. .. Zaangażowałem się, bo...

– Zostawiasz ojca? – krzyknęła Isabelle. – Bo tak każe jakiś kauzyperda. Nie masz skrupułów?

– Uspokój się.

– Nie chcę być spokojna. Co będzie z twoim ojcem? Za kilka dni musi oddać gotową łódź!

– Jeśli wrócę pojutrze, na pewno zdążę skończyć robotę, Tamta sprawa jest bardzo ważna.

– Ważniejsza od ojca?

Rick zdjął okulary i popatrzył na nią zupełnie inaczej niż wieczorem na plaży. Wystraszyła się. Dlaczego jest taki zimny? Co się stało?

– Kariera jest dla mnie ważniejsza od ojca, tak uważasz? Według ciebie nic innego się dla mnie nie liczy? Masz o mnie bardzo niskie mniemanie.

– Rick...

– Tak samo jak kiedyś. Ty widzisz świat wyłącznie w białych i czarnych kolorach, a ja dostrzegam też wiele odcieni szarości.

– I nic poza tą szarością.

– Wrócę za dwa dni.

- Ale mnie już tu nie będzie.
- Mam nadzieję, że będziesz. Wczoraj powiedzieliśmy sobie coś, co wymaga uściślenia.
- Życzę miłego pobytu w Portlandzie – rzekła chłodno. Rick włożył okulary, wszedł do auta i odjechał.
- Wiedziałem, że zwinie żagle przy pierwszej nadarżającej się okazji – rozległ się głos z tyłu.

W drzwiach stał pan Manning. Jak wiele usłyszał z ich rozmowy?

– Miał telefon od jakiegoś Chesterfielda. Rozmawiali o jakiejś Holgate, a potem Rick oświadczył, że musi jechać na ważną rozprawę. Obiecał wrócić pojutrze. Ale pech! Mam poharataną rękę, nie mogę pracować, a czas leci i dentysta z Kalifornii czeka.

Isabelle starała się skojarzyć wymienione nazwiska z osobami, ale z wysiłku jedynie rozboleła ją głowa.

– Ja stawiałam się do pracy. Mogę zaraz zaczynać. Harując za dwóch, nie przestawała zastanawiać się nad wszystkim. Wracając do domu, wstąpiła do biblioteki, żeby coś sprawdzić. Obiecała pomoc panu Manningowi i dotrzyma słowa, ale gdy jego syn wróci, jej już nie będzie w Seaporcie.

Rick znał szpital, więc pewnym krokiem przemierzył labirynt korytarzy i bez trudu znalazł właściwą salę. Przy oknie stała piękna, lekko szpakowata kobieta. Uśmiechnęła się promiennie, kiedy wszedł. Na łóżku leżał Bert Chesterfield z nogą i ręką w gipsie.

– Dzień dobry, Lauro – przywitał się Rick. – Jak się czuje twój mąż?

– Nareszcie usnął. Mów, jak było. Jestem bardzo ciekawa.

– Sędzia orzekł, że adwokaci spadkobierców za długo robili obstrukcję i czas najwyższy uszanować wolę pani Holgate. Rozmawiałem z drugą stroną... Bert pewnie ci mówił, co podsunął pani Jot. Miała zaproponować pazernym spadkobiercom, żeby aktywnie włączyli się do planowania i organizowania obozu. Według niego działanie na rzecz bliźnich złagodzi ich cierpienia po stracie części majątku.

– Cały Bert. – Pani Chesterfield rzuciła mężowi czułe spojrzenie. – Temu idealistcie wydaje się, że każdy chętnie zrobi coś dobrego. Co powiedzieli?

– Odwołają się do Sądu Najwyższego.

– Szkoda, bo trzeba będzie pisać nowe petycje, co oznacza dalszą zwłokę... Nie wiem, jak ci się odwdzięczymy za zepsute wakacje. Przyjechałeś natychmiast... Całe szczęście, że wspólnie się tym zajmowaliście i obaj jesteście na bieżąco.

– Nie martw się na zapas. Postaraj się namówić Bertę, żeby' wynajął człowieka do naprawy dachu.

– To już załatwione. Na szczęście skończyło się na złamaniach. Przecież ten uparty osioł mógł się zabić.

– Przekaż mu pozdrowienia.

– Dobrze.

– Pani Jot zamierza przemyścić do szpitala tanie wino.

– Oboje tylko takie piją. Jeszcze raz ci dziękuję. Jesteś naszym wybawcą.

– Przesadzasz. To drobnostka. Do widzenia.

Na korytarzu podsumował, ile ta „drobnostka” go kosztowała. Ojciec zawiódł się na nim – kolejny raz – a Isabelle; nie odbiera telefonu.

Ojciec już się nie zmieni i trzeba się z tym pogodzić. Rick wiedział, co go czeka po przyjeździe do Seaportu. Najpierw dostanie burę, ale gdy zabierze się do wykańczania łodzi, wszystko zostanie mu wybaczone. Potem wróci do Portlandu i znowu zaczną się pretensje.

Z ojcem tak zawsze było, jest i będzie.

A Isabelle?

Jej histeryczna reakcja na jego wyjazd doprowadziła go do szewskiej pasji. Chciał się wytłumaczyć, ale nie słuchała. Wyciągnęła błędne wnioski. Dobrze, niech sobie myśli, co chce! Nic jej nie będzie wyjaśniał.

A wydawało się, że ostatni tydzień, tak podobny do dawnych czasów, podniósł temperaturę uczuć. Na spacerze Rick wyznał jej, że nie jest mu obojętna i chciał dodać, że musi zaakceptować go takim, jakim jest. Niestety, nie pozwoliła mu dokończyć.

Czy mają szansę na wspólną przyszłość? Nie zamierzał wiązać się z kobietą, która mu nie ufa i nie kocha go takim, jaki jest.

Znał wady Isabelle równie dobrze jak jej zalety. Kochał ją za wszystko, co miała i za to, czego jej brakowało. Ona powinna zdobyć się na to samo w stosunku do niego.

Nie mógł doczekać się spotkania. Chciał jak najprędzej ustalić, czy są na początku wspólnej drogi, czy na jej końcu.

Pani Pughill zaraz po przyjeździe zgłosiła się po horoskopy. (*Dzień osiemnasty: Pojawia się nowe obowiazki. Miej otwarte serce i wpuść promienie słońca do swego życia. Pięć gwiazd*).

Isabelle przezornie schowała kota, ale wkrótce miała już inne zmartwienie. Zadzwoił pan Manning i poinformował ją, że Rick wraca. Isabelle musiała natychmiast spakować walizkę i wyjechać.

Tym razem skompromitowała się na całej linii. W bibliotece znalazła to, czego szukała. Wiedziała już, kiedy nazwiska Chesterfield i Holgate obity się jej o uszy. Pracowała kiedyś w letniej szkole, którą koło Seaportu założyła pani Marilee Jot, rzeczniczka niepełnosprawnych dzieci. Szkoła była skromnie wyposażona, ale dzieci otoczone były wspaniałą opieką. Projekt ruszył dwa lata przed pierwszą wakacyjną pracą Isabelle. Hipoterapia, pływanie, zabawy na plaży. To wszystko było możliwe dzięki hojnej darowiźnie. Niestety, na przeszkodzie stanęli pazerni spadkobiercy.

W przeddzień kolejnej rozprawy Bert Chesterfield, adwokat pani Jot, spadł z dachu. Widocznie Rick musiał go zastąpić i dlatego pojechał do Portlandu.

Z porannej prasy Isabelle dowiedziała się, że sporną kwestię definitywnie rozwiązano. Nie wymieniono nazwiska Ricka, ale niewątpliwie to on przyczynił się do tego, że marzenie pani Jot ma szansę na realizację.

Isabelle poczuła, że opuszcza ją odwaga. Przed wyjazdem Rick próbował się wytłumaczyć, ale nie dopuściła go do głosu. Zamiast spokojnie słuchać, zareagowała histerycznie. Bezpodstawnie go oskarżyła.

Teraz musi spojrzeć prawdzie w oczy. I nie chodziło o pana Manninga. Bała się, że Rick

opuszcza ją na zawsze.

Zaniosiła bagaże do samochodu, po czym wróciła sprawdzić, czy zostawia mieszkanie w należyтым porządku. W kuchni zauważyła kulkę rudego futra. Zapomniała o kocie! Zadzwońiła do schroniska i uprosiła, żeby go przyjęto. Wyszukała solidne pudło, wymościła czystym ręcznikiem, a tymczasem kot uciekł. Półgodzinne poszukiwania nie przyniosły rezultatu, więc musiała iść do sąsiadki z prośbą o pomoc.

Pani Pughill długo nie reagowała na pukanie. Wreszcie otworzyła drzwi, brodą podtrzymując rudą kulka, która wczepiła się w resztki jej czerwonych włosów.

Isabelle nie wierzyła własnym oczom. Jak kot przedostał się do sąsiedniego mieszkania?

– Och! – wykrztusiła.

– Prześliczne stworzonko, prawda? Po powrocie od siostry czułam się przygnębiona i smutna. Jej szczeniaczki są takie słodkie... W tym roku mgła wyjątkowo źle na mnie działa.

– Ja...

– Parę minut temu usłyszałam drapanie przy drzwiach. Byłam przekonana, że to szop, a zobaczyłam tę śliczną kruszynę. Nie mam pojęcia, skąd się wzięła. Biedactwo miało wilgotny kark... pewnie ktoś je maltretował.

Isabelle podrapała się w głowę. Jak kociak znalazł drogę do drzwi sąsiadki? Zerknęła na psa... nie, to niemożliwe. Pudel zaszczekał, a jego pani warknęła:

– Cicho, Ignatz! Zachowuj się przyzwoicie! Koteczek tu zostanie i będzie spać razem z tobą. – Odwróciła się do Isabelle. – Madame Hortense zawsze ma rację. Dziś napisała, że pojawią się nowe obowiązki. Trzeba mieć otwarte serce i wpuścić do swojego życia więcej słonecznych promieni. Rude kociątko jest jak promień słońca, prawda? Nazwę je Promyczek.

Ignatz żałośnie zaskomlił, jakby dostał kopniaka, a Promyczek radośnie miauknął.

Isabelle uśmiechnęła się pierwszy raz od trzech dni.

Pani Pughill zauważyła teriera i groźnie spojrzała na sublokatorkę.

– Niech pani trzyma tego potwora z dala od mojego Promyczka.

– Cieszę się, że pani wróciła – oschle powiedziała Isabelle. Ulżyło jej, że bezdomny kot będzie miał dobrą opiekę; nie ulegało wątpliwości, że biedny pudel zostanie usunięty z poczesnego miejsca.

Święta prawda, że zemsta jest słodka.

Ale to było łatwe. Moja pani zawsze czytała horoskopy na głos. Tego ranka od razu wiedziałem, co zrobić. Isabelle zaczęła przygotowania do podróży, a wtedy uznałem, że trzeba działać błyskawicznie. Gdy telefonowała do schroniska, zębami schwyciłem znajde, wybiegłem z kuchni, skoczyłem za płot, podrapałem w drzwi, postawiłem kota i wziąłem nogi za pas.

Pani Pughill zachwyciła się podrzutkiem!

Byłem ogromnie zadowolony ze swojego wyczynu, ale nagle uświadomiłem sobie, że moja pani ostatnio mało mówi. Czyli jest nieszczęśliwa. Wiedziałem, że dzwonił pan Manning, ale nie wiedziałem, dlaczego wyjeżdżamy.

Czy wybieramy się na spotkanie z Rickiem?

*Sądząc po smutnej minie Isabelle, raczej nie.
Co ważnego przeoczyłem?*

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Rozpętała się burza, z nieba lały się strugi wody. Deszcz bębnił w namiot i nie dawał spać. Wystraszony terier przysunął się do swej pani. Oboje dygotali z przerażenia, bo w namiocie robiło się jasno od błyskawic, a ziemia drżała od grzmotów i piorunów.

Isabelle pogłaskała moką sierść.

– Jeśli przeżyjemy tę straszną noc, rano wracamy do Seaportu. Obiecuję. Rick powinien... no, czas wracać do domu.

Marnie zaskomlił, co uznała za zgodę.

Minął prawie cały tydzień. Na najlepszych kempingach panował tłok, więc rozbijała namiot tam, gdzie było mniej turystów, ale gorsze warunki. Nie przeszkadzało jej to, ponieważ od rana do wieczora wędrowała po okolicy.

Ale od dwóch dni padał deszcz. Isabelle, zmęczona, brudna i mokra, postanowiła zakończyć przymusowy urlop. I wprowadzić pewne zmiany. Przede wszystkim zapisze się na kurs gotowania. Wstyd, żeby dwudziestosześcioletnia kobieta nie umiała gotować. Po tygodniu odżywiania się zupami w proszku i jarzynami z puszki bardzo surowo oceniła swe kulinarne niedołęstwo.

Ale przede wszystkim spotka się z Rickiem. Winna jest mu przeprosiny. Kiedy już się pogodzą, może zacząć wszystko od początku. Może.

Pan Manning skończył łódź na czas, a zachwycony właściciel do ustalonej ceny dodał sowitą premię.

Isabelle wysłuchiwała tej relacji, a teraz przygnębiona patrzyła na Ricka pakującego spodnie i koszule.

Schwyciła go za rękę.

– Posłuchaj mnie...

– Dałaś drapak. Wściekłaś się na mnie i dlatego wyjechałaś.

– Nie dlatego. Przepraszam cię. Wreszcie zrozumiałam...

– Trochę za późno.

– Zawiodłam cię – szepnęła. – I jak się z tym czujesz?

– Okropnie.

Rick westchnął, usiadł i objął ją. Po policzkach Isabelle popłynęły łzy. Gdy Rick spojrział na nią, zobaczyła, że on też ma wilgotne oczy.

– Bardzo cię przepraszam. Powinam ci ufać. Postąpiłeś szlachetnie, a ja...

Rick wstał i drżącą ręką odgarnął włosy z jej czoła. Oboje byli nieszczęśliwi.

– Zaangażowałem się w tę sprawę, bo pamiętałem, że pracowałaś u pani Marilee Jot. W ten sposób chciałem mieć... czuć łączność z tobą, chociaż nie byliśmy już razem.

– Ja...

– Kocham cię i zawsze będę kochał, ale nie chcę sprawiać ci bólu. – Pocałował ją w skroń. – Nie jestem odpowiednim mężczyzną dla ciebie. Nie mogę spędzić życia w Seaporcie, bo tutaj nie widzę dla siebie przyszłości.

– Skoro się kochamy...

– Szaa. – Położył palec na jej ustach. – Wiesz, że mam rację. Miłość nie zawsze wystarcza. – Poglaskał teriera i wziął torbę. – Żegnaj.

Isabelle łudziła się, że w ostatnim momencie zawróci. Niestety, wyszedł z pokoju. Usłyszała odgłos kroków na schodach, a potem trzaśnięcie drzwi samochodu.

Ukryła twarz w dłoniach, a Marnie liznął ją w tydkę i głucho zawył.

Wróciliśmy do domu. Moja pani nakarmiła mnie, ale była tak rozkojarzona, że zapomniała zgasić światło w kuchni i zamknąć klapę na zasuwę.

Bardzo długo siedziałem bez ruchu. Wiedziałem, co należy zrobić, ale zwlekałem, bo po kilku nocach w namiocie cieszyłem się, że jestem w domu.

Moje marzenia o pełnej rodzinie przepadną, jeśli nie wezmę sprawy w swoje ręce... a raczej łapy.

Dlatego musiałem zdobyć się na odwagę. Ostatni raz rzuciłem okiem wokół siebie i wybiegłem z domu. Miałem nadzieję, że jeszcze kiedyś zobaczę moją panią. Biedactwo mnie potrzebuje i wolałbym nie sprawiać jej przykrości, ale czasem pies musi zrobić to, co do niego należy.

Isabelle obudziła się nieszczęśliwa. Uświadomiła sobie, że za dwa tygodnie zaczyna się rok szkolny. Kiedyś ją to cieszyło, ale teraz...

Zostało jeszcze trochę czasu, więc może dawny entuzjazm powróci. Postanowiła przed południem sprawdzić, co jest na tablicy ogłoszeniowej.

Umyła się, ubrała i poszła do kuchni.

– Marnie!

Rozejrzała się i zauważyła otwartą klapę. Wpadła w popłoch. Jeśli ten łobuz znowu przeskoczył przez płot...

Niestety, psa nie było na podwórku. Isabelle poszła sprawdzić od frontu.

– Marnie!

Zaniepokojona zapukała do sąsiadki. Odpowiedziało jej wycie pudła.

– Ignatz, przestań! Wystraszyłeś Promyczka – krzyknęła Pani Pughill, otwierając drzwi.

Była boso i miała na sobie płaszcz kąpielowy, z którego przepastnej kieszeni wyglądał rudy kot.

– Szuka pani swojego psa? Znowu coś spsocił?

– Uciekł. Widziała go pani?

– Nie. Niech pani obejrzy róże. Bardzo lubi je podlewać i podkopywać.

Krzewy były nietknięte.

– Idę go szukać. Nie wiem, gdzie się podziewa... Gdyby wrócił, proszę go wpuścić do domu.

– Nie mam czasu.

– To niech pani znajdzie.

Isabelle odwróciła się na pięcie i powoli obeszała dom. W końcu pojechała do pana

Manninga. Zastała go w olbrzymiej pustej hali.

– Dzień dobry. Nie widział pan Marniego?

– Nie. Co się stało?

– Zniknął jak kamfora. Pomyślałam, że przybiegł do Ricka.

– Przecież wiesz, że pan adwokat wrócił do swojego wymarzonego życia w wielkim mieście.

– Rick robi to, co lubi, a jego praca jest pożyteczna. Ojciec powinien być dumny z takiego syna.

Pan Manning osłupiał. Isabelle staje w obronie jego wyrodnego jedynaka?

– On wszystko robi dla pieniędzy – syknął ze złością.

– Nieprawda! Jest wierny swoim zasadom. Nawet za cenę pańskiej aprobaty... albo mojej. Kieruje się głosem serca. Jak pan. To tak, jakby ktoś złościł się na pana, że buduje pan łodzie, zamiast hodować... bo ja wiem... indyki.

– Ale...

– Proszę to przemyśleć. Ja się opamiętałam, ale dla mnie jest już za późno. Pan jako ojciec jeszcze ma szansę.

– Bardzo wątpię.

– Boję się o Marniego. On całkiem głupieje na ulicy. Gdyby zjawił się tutaj, proszę do mnie zadzwonić. Do widzenia.

Po południu Isabelle wydrukowała zdjęcia Marniego i rozwiesiła w okolicy. Obiecała nagrodę za znalezienie psa.

Najchętniej zadzwoniłaby do Ricka, ale brakowało jej odwagi.

Nigdy nie przyszło jej do głowy, że Marnie może uciec, jednak ostatnio zachowywał się podejrzanie.

Kiedy zadzwonił telefon, zerwała się z miejsca.

– Mówi Heather. Koniecznie muszę o coś zapytać. Nie jesteśmy zgodni, czy warto znać płęć dziecka. John chce, ja mam wątpliwości. Jak ty byś postąpiła na moim miejscu?

Isabelle poczuła się tak, jakby ktoś pytał ją o radę w sprawie budowy igloo. Miała inne zmartwienie. Jak żyć bez Ricka? Jak żyć bez miłości?

Przeprosiła przyjaciółkę, mówiąc, że czeka na ważną wiadomość, i odłożyła słuchawkę.

Siedziała w dziwnym otępieniu i czekała. Po długim czasie telefon rozdzwonił się.

Najpierw telefonowało dziecko, które znalazło jakiegoś psa tydzień temu. Potem pan Manning pytał, czy są już jakieś wiadomości. Dzwoniła też pewna kobieta, która obiecała pomoc w szukaniu Marniego, jeśli Isabelle pomoże jej odnaleźć zaginionego owczarka.

Jakie puste było mieszkanie bez Marniego. Biedak, pewnie już zgłodniał. Na szczęście na liliowym serduszkach przy obroży miał wypisane imię i numer telefonu.

Około dziewiątej wieczorem zadzwonił mężczyzna o chrapliwym głosie.

– Mam pani psa. Mój syn go znalazł. Dostanę nagrodę?

– Oczywiście. Czy Marnie jest cały i zdrowy? Skąd pan dzwoni?

– Pies jest cały, ale zmęczony. Mieszkam trzydzieści kilometrów od Astorii.

Isabelle oniemiała. Jakim cudem terier pokonał trzydzieści kilometrów? Czy ktoś go

ukradł? Czy ten człowiek zabrał psa, a teraz zmyśla historyjkę, żeby wyłudzić pieniądze?

Nieważne.

– Będę u pana za godzinę.

– Odpada. – Mężczyzna głośno ziewnął. – Od rana ścinałem drzewa, zaraz idę spać. Jutro mam robotę niedaleko pani, sam przywiozę psa.

– Ale...

– Przyjadę przed siódmą.

Isabelle musiała się zgodzić.

Położyła się przekonana, że będzie spokojnie spać. Niestety, sen nie nadchodził. Ciągłe martwiła się o swojego pupila.

I myślała o Ricku. Czy to możliwe, że ich miłość się skończyła?

Przełknęła łyżę i przewróciła się na drugi bok. Musi zapomnieć o Ricku, wyrzucić go z pamięci. Raz się udało, więc teraz też się uda. Ma swoją dumę.

Nad ranem przestała się łudzić, że uśnie. Wstała bladym świtem, a wkrótce zadzwonił telefon. Usłyszała znany chrapliwy głos.

– W nocy było trochę hałasu. Tu u nas są opsy i szopy. Wygląda na to, że pani pies przegryzł sznurek i uciekł.

– Zostawił go pan na noc pod gołym niebem?

– A co miałem zrobić?

– Przecież lał deszcz...

– Pies wlaź pod samochód.

– Proszę podać adres i jakieś wskazówki, żeby nie błądziła.

Mężczyzna niechętnie powiedział, gdzie mieszka, i odłożył słuchawkę.

Parę minut później zadzwonił pan Manning. Isabelle z trudem opanowała płacz.

Kiedy odłożyła słuchawkę, wzięła plik podobizn teriera i pojechała tam, gdzie widziano go ostatni raz.

Miejscowość, w której Marnie spędził noc, była małą osadą w pobliżu autostrady. Stało tu sześć domów i trzy razy tyle samochodów. Isabelle przykleiła podobizny na pięciu słupach i zapukała do pierwszego domu. Wreszcie dotarła pod wskazany adres i na zabłoconym podwórzu zobaczyła chudego chłopca.

– Jak masz na imię?

– Billy.

– Jestem właścicielką psa, którego złapałeś.

– Miał apetyt na pączka, więc dałem mu kawałek.

– Marnie bardzo lubi pączki. – Wyjęła z portfela kilka banknotów. – Daj to tatusiowi ode mnie za rozmowy międzymiastowe. Reszta będzie na pączki dla ciebie.

– To był fajny piesek.

Słowa malca zabrzmiały jak epitafium. Isabelle wróciła do domu, odsłuchiwała sekretarkę i wbiła wzrok w telefon.

Minęło dwanaście długich godzin, nim telefon ponownie zadzwonił. Tym razem zgłosiła się kobieta, która widziała teriera przed kilkoma godzinami. Była z mężem na wycieczce

rowerowej, a że nie mają komórki, dzwoniła dopiero teraz.

– Gdzie to było?

– Na wschód od Riverview. Siedzieliśmy nad wodą i jedliśmy kanapki, kiedy zjawił się zabiedzony pies z kawałkiem sznurka przy obroży. Wyciągnęłam rękę z serem, a mąż chciał go złapać, ale on uciekł, bo wyśliznął się z obroży. Na ziemi widzieliśmy ślady krwi. Czy przysłać obrożę?

– Będę wdzięczna.

Isabelle odłożyła słuchawkę i pustym wzrokiem patrzyła przed siebie. Teraz Marnie jest naprawdę bezpańskim psem. Był ranny... może...

Nie, nie wolno myśleć o najgorszym.

Przyniosła z samochodu mapę, zaznaczyła miejscowość, gdzie Marnie spędził noc, potem Riverview, pięćdziesiąt kilometrów od pierwszego miejsca, i doszła do absolutnie niedorzecznego wniosku. Nieprawdopodobne, a jednak...

Nagle zadzwonił telefon.

– Czy Marnie wrócił? – zapytał Rick.

– Nie.

– Dlaczego mnie nie zawiadomiłaś? Dopiero ojciec mi powiedział.

– A jak myślisz?

– Przepraszam – rzekł innym tonem. – Martwię się. I zastanawiam, czemu Marnie uciekł od osoby, którą kocha.

– On kocha nie tylko mnie. Posłuchaj, to zabrzmiało nieprawdopodobnie, ale Marnie chyba... wybrał się do ciebie.

– Niemożliwe!

Isabelle opowiedziała o swoich przemyśleniach.

– A ja siedzę tu beczynn timer – kończyła. – Marnie jest bez obroży, więc nawet nie będę wiedziała, jeżeli wpadnie pod samochód i...

– Przyślij mi jego zdjęcie. Wydrukuję i rano zacznę szukać, a ty pojedziesz do Riverview. Będziemy jechać w swoją stronę i rozwieszać zdjęcia. Spotkamy się gdzieś w połowie drogi. Może któreś z nas będzie miało szczęście.

– Myślisz, że jest nadzieja?

– Zawsze jest, prawda?

Chciała przytaknąć, lecz bała się, że ton głosu ją zdradzi. Myślała nie tylko o swoim pupilu.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Mój plan miał niestety słabe strony. Na przykład musiałem pozwalać ludziom z bliska oglądać moją wizytówkę. Dużym minusem był brak jedzenia. A jeszcze większym delikatne łapy. Och, jak mnie bolały.

Trudno, musiałem ryzykować, ale wybierałem ludzi bardzo ostrożnie. Najpierw dziecko z pączkiem. Nie mogłem przewidzieć, że chłopiec ma złe zamiary. Potem dwoje rowerzystów. Rowerzysta wyciągnął wielkie łapy, a wtedy w mojej duszy zbudził się pierwotny instynkt. Warczałem i gryzłem. Na szczęście mężczyzna popełnił błąd, bo schwycił mnie za obrożę. Prędko pokręciłem łbem i odzyskałem wolność. Umknąłem w gęste krzewy jeżyny, gdzie człowiek się nie wciśnie. Byłem dumny z siebie, a jednocześnie wystraszony. Poczulem ból w prawej łapie, bo nadepnąłem na kawałek szkła. Prześladował mnie prawdziwy pech!

Kulejąc, wczółgałem się w największy gąszcz i usiłowałem zebrać myśli. Bez obroży czulem się nagi, a co gorsza, przerażony.

Gdy znalazłem autostradę, poczułem się jeszcze gorzej. Mimo to szedłem dalej. Po szamotaninie z podstępny rowerzystą byłem otumaniony i zdezorientowany. Nie bardzo wiedziałem, w którą stronę należy skręcić.

Po pewnym czasie ujrzałem gęste zarośla, w sam raz na nocleg. Wreszcie mogłem spokojnie odpocząć, wylizać łapę i należycie się skupić. Chyba pamiętacie, jakie mam nadzwyczajne zdolności.

Me powiem, żeby zawsze przynosiły mi korzyść...

Isabelle jechała wolno, często zatrzymując się i wypytując ludzi. Na każdym postoju głośno nawoływała psa, aż w końcu ochrypła.

Zmęczona, zrobiła sobie dłuższą przerwę. Zaparkowała samochód pod olbrzymimi dębami. Siedząc przy otwartych drzwiach, doznała osobliwego wrażenia, że pojechała za daleko i zostawiła obolałego Marniego gdzieś za sobą.

Była absolutnie pewna, że powinna zawrócić. Ale wtedy rozminie się z Rickiem.

Co robić?

Może powinna poczekać tutaj na Ricka?

Nie umiała zdecydować.

Wysiadła z samochodu, oparła się o błotnik i zamknęła oczy.

– Weź się w garść – rozkazała sobie na głos. – Jesteś potrzebna Marniemu.

Czy to możliwe, że psiak wybrał się do Ricka? Czy Rick jej uwierzył? Jeśli Marniemu coś się stanie, będzie miał wyrzuty sumienia. Straszne!

Niepotrzebnie zgodziła się na jego udział w poszukiwaniach. Ale przecież on sam się włączył.

I nagle, w chwili kiedy zdawało się, że wszystko stracone, z oślepiającą jasnością uświadomiła sobie, że Rick ją kocha.

Nie miał racji. Wcale nie było za późno. Nie wie, jak bardzo się zmieniła. Stanowczo za

długo była niedojrzałą egoistką. Teraz ma ostatnią szansę i nie może jej zaprzepaścić. Nie pozwoli, by fałszywa duma przeszkodziła jej odzyskać ukochanego. Rick był jej przeznaczony, a ona była przeznaczona jemu.

Poczuła wielką ulgę. Odetchnęła głęboko i postanowiła zawrócić. Jednak kiedy przejechała półtora kilometra, znów zwątpiła. Znów chciała zawrócić, a kiedy zwolniła, kątem oka zauważyła, że w krzakach po lewej stronie coś mignęło. Serce podskoczyło jej do gardła.

– Czy to możliwe? – szepnęła.

Zjechała na pobocze. To chyba nie dzikie zwierzę. Oby tylko nie wyskoczył na drogę.

Kiedy ruch trochę się zmniejszył, zawróciła, zatrzymała się i szybko wysiadła. Przez cały czas obserwowała krzewy.

– Marnie! – zawołała z nadzieją, brodząc w wysokiej trawie. – Marnie!

Nagle spod krzaka wypełzło zbiedzone stworzenie ze zwieszonym łbem.

– Marnie! – krzyknęła uradowana Isabelle.

Pies podniósł łeb i oboje znieruchomieli na kilka sekund. Potem Marnie w kilku susach przebiegł nierówny teren. Skoczył ku Isabelle z takim impetem, że zachwiała się i cofnęła parę kroków, uderzając plecami o samochód. Złapała brudasa i przycisnęła do piersi.

Terier skowyczał i dygotał, a po policzkach jego pani płynęły łzy. Całowała kudłaty łeb i tuliła brudnego, drżącego zbiega.

Naraz rozległ się pisk opon. Isabelle spojrzała na drogę. To Rick. Zahamował gwałtownie i wyskoczył z auta. Objął mocno oboje, a na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi i zdumienia.

– Biedak skaleczył się – powiedziała Isabelle, lekko dotykając zakrwawionej łapy.

Obejrzeni psa dokładnie, po czym Rick zdecydował, że Marnie pojedzie z nim.

Isabelle wciąż jeszcze nie wierzyła, że odnalazła swojego pupila.

To prawdziwy cud!

Marnie wyciągnął się na miękkim siedzeniu i głośno sapał.

Isabelle oderwała wreszcie od niego oczy i speszona zerknęła na Ricka.

– Kocham cię – szepnęła. – Już nigdy nie ulotnię się bez uprzedzenia. Pragnę, żebyś był najlepszym adwokatem na świecie, ale możesz być kimkolwiek chcesz, nawet zwykłym robotnikiem. Będę cię we wszystkim wspierać, tylko pozwól mi się kochać.

Rick ujął jej twarz w dłonie.

– Ojciec powtórzył mi, co mu powiedziałaś.

– To wszystko prawda. Rick odwrócił się do psa.

– Hej, urwisiu, a jakie jest twoje zdanie? Czy kobieta, mężczyzna, pies i kot mogą w zgodzie i harmonii mieszkać pod jednym dachem? Czy według ciebie mamy szansę na szczęście?

Marnie zaszczekał z pełnym przekonaniem. Rick spojrzał na Isabelle.

– Ty dobrze go znasz. Co znaczy to szczekanie?

– Chyba... chce, żebyśmy... byli razem – odparła Isabelle.

– Ja też tego pragnę. Porwał ją w ramiona.

– Najdroższa – szepnął. – Obiecuj, że jutro zostaniesz moją żoną.

Isabelle odsunęła się i spojrzała mu prosto w oczy.

– Obiecuję, że zostanę twoją żoną... pojutrze. Marnie triumfalnie zawył.

Oczywiście dostałem burę za to, że uciekłem, ale ponieważ żadnego łajania nie traktowałem poważnie, więc i tym razem się nie przejąłem. Potem złożyłem przymusową wizytę weterynarzowi i szycie łapy potraktowałem bardzo poważnie. Przez trzy tygodnie musiałem paradować z zabandażowaną łapą i dziwnym kołnierzem.

Hańba i wstyd!

A koci szpieg złośliwie cieszył się z mojego nieszczęścia.

Po ślubie (oczywiście był ślub i wesele) przeprowadziliśmy się do mieszkania Ricka. Nadal wykorzystuję moje nadzwyczajne zdolności, żeby spowodować nasz powrót do Seaportu.

Isabelle znalazła pracę i uczy portlandzkie dzieci, wobec czego kot i ja spędzamy dużo czasu sami. Pan Charles jest nawet niezłym kompanem, ale mu tego nie powiem.

Szukamy większego lokum. Potrzebny nam dodatkowy pokój, bo rodzina się powiększy. Trudno. Skoro z filozoficznym spokojem traktuję kota, chociaż całymi godzinami wlepia we mnie ślepia, to poradzę sobie i z dzieckiem.